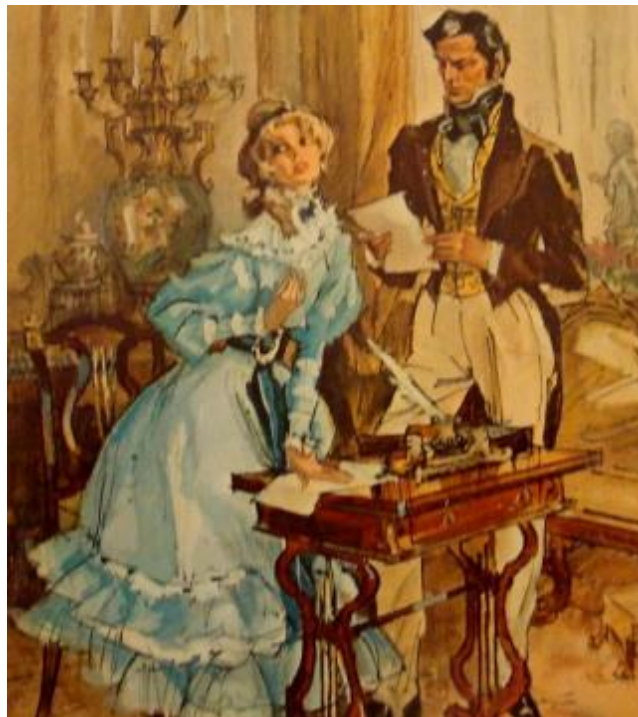




**Barbara Cartland**

**Słodczy zemsty**

**Revenge is sweet**



## Od Autorki

O teeples-chase był pierwotnie improwizowanym wyścigiem konnym, w którym metę wyznaczała widoczna z oddali wieża kościoła. Wówczas ścigano się po prostu przez pola i łąki. Dzisiaj gonitwa odbywa się na torze ze sztucznymi przeszkodami.

Steeple-chase i inne wyścigi z przeszkodami mają korzenie w manewrach wojskowych, na których ćwiczono pokonywanie bardzo trudnych przeszkód.

W Anglii najwcześniejszy zanotowany wyścig wierzchem miał miejsce w 210 r. w Wetherby, w hrabstwie North Yorkshire. Startowały w nim konie czystej krwi arabskiej przewiezione tu przez Lucjusza Septymusa Severusa (146-211), cesarza Rzymu.

W czasach georgiańskich organizowano wyścigi steeple-chase\* o północy. Były one niesłychanie niebezpieczne, a ich uczestnicy nadużywali alkoholu i stosowali niedorzeczne utrudnienia, jak jazda z zawiązanymi oczami albo z jednym ramieniem przywiązany do tułowia.

\* **Stąd nazwa, steepk (ang) - wieża, chase - pogoń.**

Przeszkody steeplowe są to drewniane płotki wysokości ok. 1 m, ponad które wystaje ok. 40 cm żywopłotu. Steeple-chase stanowi także część Wszechstronnego Konkursu Konia Wierzchowego (przyp. tłum.).

Grand National Steeple Chase, który zainicjowano w 1837 roku jako Grand Liverpool Steeple Chase, stał się najslawniejszym i najbardziej znaczącym wyścigiem steeple-chase na świecie.

Zawodnicy muszą dwukrotnie przejechać tor w kształcie nieregularnego trójkąta (dystans wynosi cztery mile i osiemset pięćdziesiąt sześć jardów) i wykonać w sumie trzydzieści skoków.

Jockey Club, który sprawuje pieczę nad wszystkimi wyścigami konnymi w Anglii, został założony na przełomie lat 1750/1751.

## Rozdział pierwszy

Valessa wyglądała przez okno. Świeciło słońce i jak na koniec listopada dzień był ciepły. Lekki przymrozek, który chwycił w nocy, nie powstrzymał myśliwych, od polowania. Drzewa oblały się czerwienią i brązem. Spadające liście tworzyły na ziemi kobierce w tych samych jesiennych barwach.

- Taki piękny dzień, w sam raz, by umrzeć - powiedziała do siebie głośno Valessa. Nagle ogarnęło ją pragnienie, by żyć dalej, ale natychmiast je stłumiła. To niemożliwe, pomyślała: tak kurczowo trzymam się żyda, bo niedawno jadłam.

Poprzedniego dnia podjęła decyzję: nie pozostaje jej nic innego, jak tylko umrzeć. Wtedy też postanowiła zjeść nazajutrz porządne śniadanie. Inaczej nie starczyłoby jej sił, żeby dojść do rzeki i skoczyć w fale. Dlatego pozbyła się ostatniej zmiany pościeli. Prześcieradło zamieniła na jajka. A za powłóczkę haftowaną przez matkę otrzymała trzy kromki chleba i maleńką osełkę masła. Zaplanowała, że rano najpierw się ubierze, potem urządzi sobie ucztę w kuchni. Obudziwszy się jednak była tak głodna, że zeszła na dół w koszuli nocnej. Zjadła jajka i grzanki, które smakowały jak najwspanialsze dania na świecie. Do picia nie miała nic prócz wody. Na szczęście mogła ją zagotować w czajniku nad paleniskiem. Z dumą myślała, jak roztropnie poczyniła sobie z ogniem. Jediną rzeczą, którą miała za darmo, było drewno z uschniętych drzew, niegdyś rosnących koło domu. Dzięki temu udało się jej podtrzymywać ogień w kuchni, i w sypialni. Przez całą noc doglądała kominka w swoim pokoju. Rankiem rozpałała pod kuchnią, przenosząc tam w wiaderku kawałek żarzącego się polana. Pomyślała, że tylko to ciepło bijące z kominka utrzymywało ją dotąd przy życiu. Zapasy żywności topniały z dnia na dzień, a nie miała już nic do sprzedania. Postanowiła więc zakończyć życie w nurcie rzeki, zamiast powoli umierać z głodu.

Wydawało się niemożliwe, że wypadki mogły się potoczyć tak szybko. Z rodzinnego domu Valessy pozostały tylko puste ściany. W pokojach straszyły ślady po obrazach. Kawałki dywanów na podłodze były zbyt wytarte, aby się komuś na coś przydać. A kiedyś to miejsce rozbrzmiewało śmiechem i wypełniało je szczęście. Byli wprawdzie biedni i zadowalali się niewyszukanymi potrawami, ale zawsze mieli pod dostatkiem żywności.

Patrząc wstecz myślała, że nie było chyba na świecie przystojniejszego i bardziej błyskotliwego mężczyzny niż jej ojciec. Jednak niewątpliwie to on ponosił winę za istną lawinę nieszczęść, które na nich spadły. Wszystko

zaczęło się na długo przed jej urodzeniem, gdy Charles Chester pokłócił się ze swoim ojcem, dziadkiem Yalessy.

- Niech mnie diabli porwą, jeżeli pójdę do wojska! - oświadczył. - Od dzieciństwa traktowałeś mnie jak materiał na rekruta. A ja mam zamiar cieszyć się życiem i zwiedzić świat!

- Jeżeli nie zrobisz tego, co każe, zostawię cię bez grosza! - ryknął ojciec.

Jednak Charles był zdecydowany postawić na swoim. Dwa dni potem uciekł z domu, zabierając ze sobą całą gotówkę, jaka wpadła mu w ręce, a także - co sięgnęło na jego głowę najwięcej gromów - córkę sąsiada, Elizabeth. Już od ponad roku zalecał się do niej. Nie miał jej jednak nic do zaoferowania, prócz miłości. Zawiadomił Elizabeth o swym zamiarze ucieczki, a gdy ją pocałował, wiedział, że liczy się tylko ta miłość. Odeszli oboje ukradkiem, nie zważając na chaos, który zostawili za sobą. Elizabeth w istocie postąpiła wyjątkowo zuchwale. Jej ojciec zaręczył ją wcześniej z pewnym panem o wysokiej pozycji społecznej, dużo starszym od niej. Ślub miał się odbyć za dwa tygodnie.

Odchodząc Elizabeth, za radą Charlesa zabrała ze sobą klejnoty odziedziczone po matce, a także kosztowności, które otrzymała w prezencie zaręczynowym.

- Wszystko jedno, czy nas będą ścigać za jedno czy za dwa przestępstwa - uśmiechnął się Charles. - Zresztą, zanim się zorientują, będziemy już za siedmioma morzami.

- A dokąd pojedziemy? - zapytała Elizabeth trochę niepewnie.

- Jeśli o mnie chodzi, to do rajy - odpowiedział - ale tak naprawdę pomyślałem, że najpierw odwiedzimy Egipt i zobaczymy piramidy.

Elizabeth zaś wiedziała tylko jedno: że pragnie być z nim. Odjeżdżając, nie dbali o wściekłość rodziców i nie myśleli o pełnych oburzenia okrzykach krewnych. Tak się złożyło, że byli dość zamożni. Matka Elizabeth zostawiła jej oprócz klejnotów także pieniądze. Kapitał ten przynosił około trzystu funtów rocznie. Suma ta pozwoliła im podróżować do wielu odległych i niezwykłych miejsc. Wrócili do Anglii dopiero na krótko przed urodzeniem Valessy. Nie próbowali kontaktować się z krewnymi, wiedząc, że ci i tak nie chcieliby z nimi rozmawiać. Charles znalazł mały, biało-czarny domek drewniany w hrabstwie Leicester, który udało mu się kupić, jak się wyraził, za bezcen. Elizabeth urządziła go bardzo wygodnie i mieszkali tam przez dwa lata po urodzeniu córki. Wkrótce jednak Charlesa znowu ogarnął ten znamieny niepokój i wyruszyli w kolejne podróże, zabierając ze sobą Valessę. Dziewczynka, zanim podrosła na tyle, aby cokolwiek rozumieć, doskonale się bawiła, jeżdżąc na wielbłądzie albo wspinając się na szczyty, które akurat

zapraǳał zdobyć jej ojciec. Zapuszczała się z rodzicami w górę rzek rojących się od krokodyli, w dzikie rejony Afryki. Przywykła do dziwacznej żywności, spania w namiocie, a czasem nawet w jaskiniach. A gdy wracali do Anglii, gdzie były konie, uczyła się jeździć pod okiem ojca, jego stawiając sobie za wzór. To właśnie konie miały się stać treścią życia Charlesa Chestera, gdy zdrowie nie pozwalało już Elizabeth na zagraniczne podróże. Trapiły ją od dawna liczne, niezwykle wyczerpujące tropikalne gorączki, nie znane medycynie. W końcu nie starczało jej sił na prowadzenie domu. Na szczęście Valessa rosła i mogła coraz więcej pomagać matce. Wreszcie nauczyła się nawet szkolić konie ujeżdżone przez ojca i robiła to równie dobrze jak on sam. Konie stały się jedynym źródłem dochodów Charlesa Chestera.

Gdy pewnej nocy Elizabeth spokojnie i cicho umarła podczas snu, Valessa nie mogła w to uwierzyć. Zdawało się, że jeszcze przed chwilą matka była z nimi, roześmiana, z oczami przepelnionymi miłością do przystojnego męża, a chwilę potem niesiono ją w małej trumnie na cmentarz.

To po śmierci Elizabeth wszystko naprawdę się zawaliło. Wiele lat później Valessa zrozumiała, że przyczyną tragedii była treść testamentu babki. Upoważniał on Charlesa Chestera do dysponowania kapitałem, z którego żyli. Ledwie trzy lata zajęło mu roztrwonienie go co do grosza.

Początkowo wydawał pieniądze na konie. Porzuciwszy renomowane Targi Koni, stał się stałym bywalcem Tattersairs\*. Potem, przybity samotnością, wpadł w sidła hazardu.

#### \* Miejsce sprzedaży koni wyścigowych w Londynie.

W sąsiedztwie znajdowały się dwie duże posiadłości, w których miał przyjaciół. Nigdy ich nie przedstawił Valessie, zresztą na pewno nie podobaliby się Elizabeth. Byli to brawurowi jeźdźcy, mężczyźni nadużywający trunków. Lubili grać w karty na duże stawki, a gdy wypili, potrafili stawiać zakłady na muchy łażące po szybie.

Osiągnąwszy osiemnaście lat Valessa zorientowała się, że ojciec nie ma pieniędzy, ale było za późno, by temu jakoś zaradzić. Długi mnożyły się z zastraszającą prędkością. Głód zapukał do drzwi, a ojciec zaczął sprzedawać wszystko, co mieli w domu. Z wielkim bólem Valessa patrzyła, jak zdejmowano ze ścian ulubione lustra matki w pozłacanych ramach. Potem nagle zniknęła francuska sekretera, przy której matka pisywała listy. Dywany przywiezione z Persji zostały jeden po drugim zwinięte i wywiezione furmanką.

- Nie możemy tak dalej żyć, papo - powiedziała wreszcie Valessa.
- Wiem, moja lalczko - odparł - i bardzo się wstydzę.

Potem wybuchnął swoim beztroskim, zaraźliwym śmiechem.

- Dziś idę na przyjęcie - oświadczył - i mam przecucie, że rozbiję bank.

- O, nie, papo! - wykrzyknęła Valessa. Ale wiedziała, że wszelkie protesty są bezskuteczne. Ojciec nienawidził pustki i ciszy tego domu, w którym nie było już Elizabeth. Wiedziała też, że jest duszą towarzystwa na każdym przyjęciu i dlatego otrzymuje tyle zaproszeń. Szkoda tylko, że od ludzi, których nie zaakceptowałaby jej matka. I szkoda, że od czasu do czasu nie zapraszano też Valessy. Była dorosłą panną, a nie widywała nikogo prócz mieszkańców Little Fladbury, niewielkiej wioski. Miejscowy pleban dawał jej lekcje, a że posiadał gruntowne wykształcenie, poznała klasyków i, oczywiście, Pismo Święte. Nauczycielka z wiejskiej szkoły uczyła ją matematyki i geografii w chwilach wolnych od żmudnej pracy z niechętnymi do nauki chłopskimi dziećmi. Ale najważniejsza była biblioteka matki, zaskakująco duża jak na tak niewielki dom. Elizabeth Chester kolekcjonowała książki z całego świata, kochała bowiem literaturę. Podczas licznych podróży nauczyła Valessę francuskiego, włoskiego i hiszpańskiego. Gdy wracali do Anglii, nalegała, by córka czytała książki z kraju, który zwiedzili ostatnio. Valessa miała przenikliwy umysł i chwyciła wszystko w lot. Wkrótce potrafiła konwersować z matką w różnych językach. Czytywała także na głos książki w oryginale.

Biblioteka znajdowała się w tak zwanym gabinecie, niewielkim pokoju, jedynym, którego długo jeszcze nie ogołociono z mebli.

Gdy jej ojciec stracił życie, Valessa czuła, że nie był to przypadek. Waśnie wracał wierzchem z przyjęcia, na którym miał nadzieję „rozbić bank”. Zamiast tego, jak się później dowiedziała, przegrał dużo, a gotówką oczywiście wtedy już nie dysponował. Może wstydził się powiedzieć córce o swojej klęsce. Mógł też obawiać się ostracyzmu ze strony swoich rzekomych przyjaciół. Dług karciany był długiem honorowym. Bez względu na to, który z powodów przeważał, Valessa była święcie przekonana, że ojciec umyślnie targnął się na własne życie.

Tamtego wieczora jak zwykle bardzo dużo wypił. Skierował swego konia na przeszkodę nie do pokonania. Spadł, co było nieuniknione w tych okolicznościach, i złamał kark.

Wtedy naprawdę cały świat runął w gruzy. Wypadki potoczyły się jak lawina. Krawiec ojca zabrał stół, krzesła i stoliki z jadalni, i jeszcze gderał, że to nie dosyć. Dostawca wina skonfiskował wszystkie wartościowe przedmioty z salonu. Rymarz zadowolił się obrazami z klatki schodowej i dodatkowo zażądał portretu jej matki. Meble z sypialni rodziców wziął inny wierzyciel. Zostały tylko sprzęty z pokoju Valessy i kilka przedmiotów, którymi wzgardzili



komornicy. Ocaliły ją one od śmierci głodowej w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. Początkowo, drobiazg po drobiazgu, sprzedawała wszystko, co interesowało wieśniaków. Zapłacili kilka szylingów za filigranowe figurki z drezdeńskiej porcelany i statuetki pogańskich bożków, które jej ojciec kolekcjonował w czasie podróży. Gdy i tego zabrakło, pozostało jej tylko wymieniać pościel i koce na żywność. Wiedziała, że wcześniej czy później ich zabraknie. Jednak dopiero na początku tego tygodnia stanęła twarzą w twarz z faktem, że musi umrzeć. Nie miała żadnej możliwości zarabiania na siebie. W wiosce z całą pewnością nikt by jej nie zatrudnił, ponieważ wszyscy sami cierpieli biedę. Wielki Dom - jak go nazywali - gdzie niegdyś mieszkał dziadec, opustoszał wiele lat temu. Wieśniacy utrzymywali się z tego, co zdołali wyhodować i sprzedać na targu w odległym o trzy mile miasteczku. Valessa myślała, że gdyby miała trochę pieniędzy na bilet, mogłaby pojechać do Londynu i spróbować znaleźć jakąś pracę. Potem znów zaczynała wątpić, czy ktoś by ją zatrudnił. Zresztą bała się samodzielnie wyruszać w taką długą drogę. Co innego było podróżować z ojcem i matką, którzy chronili ją i otaczali opieką.

W ciągu roku poprzedzającego chorobę matki spostrzegła, że mężczyźni rzucają na nią szczególnego rodzaju spojrzenia, które ją wręcz przerażały. Już nie tylko ofiarowywali czekoladki i inne drobne prezenty, lecz obejmowali ją ramionami i próbowali całować, jeśli ojciec im nie przeszkodził.

- Zostawcie moją córkę w spokoju - powiedział do kilku znajomych pewnego wieczoru.

- Jest zbyt piękna - odparł jeden z nich. - Będziesz musiał trzymać ją w klatce, Charlie, gdy dojrzeje!

- Na pewno będę ją zamykał na klucz przed takim Casanovą jak ty! - zażartował ojciec. Valessa pamiętała, jak wszyscy się śmiali. Od tego czasu wysyłano ją wcześniej do łóżka, gdy rodzice przyjmowali gości. Gdy zaś byli na wakacjach we Francji, nigdy nie pozwalano Valessie wychodzić samej.

Gdy teraz spojrzała w lustro, pomyślała, że nikt by nie nazwał jej piękną. Tak schudła, że jej oczy zdawały się o wiele za duże. Niedożywiona i osłabiona, w ogóle nie umiała się już śmiać. W przeszłości jej włosy lśniły, jakby przenikał je słoneczny blask. Dzisiaj, choć wciąż długie i gęste, stały się matowe i wiotkie. Z oczu zniknęły iskry radości.

Powoli, nawet bowiem po posiłku trudno jej się było zdobyć na wysiłek, Valessa zaczęła się ubierać. Stroje, wszystkie znoszone i wytarte, wisiały w szafie. Zastanawiała się, w czym będzie najlepiej wyglądać, gdy wcześniej czy później jej ciało zostanie wyłowione z rzeki. Przypuszczała, że

prawdopodobnie najpierw zobaczą ją jakieś dzieci albo może farmer, który wyjdzie upolować zająca na posiłek. Sama próbowała zastawiać sidła w ogrodzie, jednak bez powodzenia. Jediną zdobyczą była sroka, co wyglądało na złą wróżbę. Ptak odleciał, gdy go uwolniła. Potem żałowała; mogła jednak przyrządzić z niej jakieś danie. Tak czy inaczej wątpiła, czy mięso sroki miałyby dobry smak.

Wyjęła z szafy to, co wydawało się stosunkowo najporządniejsze. Była to za duża na nią suknia, niegdyś własność matki.

Przynajmniej, pomyślała, będę ładnie wyglądać po śmierci. Inne ubrania matki udało jej się sprzedać, ale niewiele za nie dostała. Zatrzymała sporo swoich sukni, ponieważ nie było kobiet wystarczająco szczupłych, aby je nosić.

Na drogę do rzeki miała zamiar włożyć ciepły płaszcz, jedyną naprawdę porządną rzecz, która wisiała w szafie. Rozważała możliwość sprzedania go za kawałek mięsa, który zjadłaby rano z jajkami. Lękała się jednak, że w razie niepogody może zasłabnąć z zimna, zanim dotrze do rzeki. Zresztą ciężki płaszcz szybciej pociągnie ją na dno, gdy nasiąknie wodą. Valessa nigdy nie nauczyła się pływać, a rzeka wezbrana po październikowych słotach była bardzo głęboka, zwłaszcza tuż przed tamą.

Ktoś kiedyś powiedział, że śmierć przez utonięcie jest szybka i bezbolesna. Słyszała także o tym, że życie przesuwa się przed oczami w tej ostatniej minucie, przywołując wszystkie złe i dobre uczynki. Nie mogła sobie przypomnieć, ale chyba nie popełniła wielu grzechów. Może po prostu nie zdawała sobie z nich sprawy i będzie zaskoczona, gdy w chwili śmierci powrócą.

Zapięła suknię i uporządkowała włosy przed lustrem. Potem zdecydowanie podeszła do szafy, aby zdjąć z wieszaka płaszcz. Wiedziała, że musi być już około południa, a nie miała co włożyć do ust. Chciała jak najszybciej przestać istnieć.

Właśnie wyjęła płaszcz z szafy, gdy ku swemu zaskoczeniu usłyszała pukanie do drzwi. Kto to może być? Od tygodni nikt nie odwiedzał jej w domu. Rozmawiała z ludźmi tylko wtedy, gdy wyprawiała się do wioski. Było to ćwierć mili drogi, dla niej bardzo daleko. Poprzedniego dnia zdobyła się na specjalny wysiłek, żeby odebrać jajka na dzisiejsze śniadanie.

Znowu rozległo się gwałtowne pukanie. Odłożyła płaszcz na łóżko i po nagich schodach zeszła do hallu. Otworzyła drzwi. Na dworze, zdumiona, zobaczyła trzech dżentelmenów w czerwonych kurtkach myśliwskich, a trochę dalej ich wierzchowce trzymane za wodze przez pacholków. Myśliwi nieśli na rękach damę w stroju do konnej jazdy.



- Czy możemy wejść? - zapytał jeden z przybyłych. - Lady Barton spadła z konia i paskudnie zraniła się w ramię. Pani dom był najbliżej...

Valessa szerzej otworzyła drzwi.

- Ależ oczywiście, proszę - rzekła.

Trzej mężczyźni wnieśli lady Barton do domu. Dwaj trzymali ją za ramiona, a jeden za nogi. Valessa poszła przodem przez hall i otworzyła drzwi do salonu. Wtedy zauważyła, że z dłoni lady Barton krew kapie na podłogę.

Jedynym meblem w salonie była stara kanapa w opłakanym stanie, przed laty wyrzucona do komórki. Niedawno Valessie udało się przyciągnąć ją do pokoju, pragnęła bowiem siadywać przy kominku jak wtedy, gdy żyli rodzice, i wyobrażać sobie, że wciąż są tutaj razem z nią.

Trzej dżentelmeni położyli lady Barton na sofie. Dama miała zamknięte oczy. Jeden wziął nóż do patroszenia zwierzyny i rozciął na całej długości rękaw eleganckiego kostiumu do konnej jazdy. Na ramieniu leżącej była rana biegnąca od łokcia aż po nadgarstek.

- Potrzeba nam wody i bandażu - powiedział jeden z przybyłych.

Valessa nagle się zreflektowała; stoi tylko, wpatrując się w lady Barton i nic nie robi. Spiesząc w chwilę później do kuchni przypomniała sobie, kim jest lady Barton i co słyszała o tej damie. Wioska Little Fladbury była praktycznie odcięta od świata, jednak jakimś tajemniczym sposobem dochodziły tu plotki z całego hrabstwa. Większości z nich dostarczał listonosz, który przyjeżdżał zaledwie raz w tygodniu. Poza tym synowie dwóch rolników służyli w wielkopańskich domach i kiedy przyjeżdżali w odwiedziny, mieli wiele do opowiadania. Zdejmując czajnik z fajerki, Valessa przypomniała sobie, co mówiono o bogactwie lady Barton, która była właścicielką ogromnego domu zwanego Ridgeley Towers. Miała najszybsze konie wyścigowe i najzręczniejszych myśliwych w całym kraju. Mówiono, że lady Barton jest bardzo pociągającą kobietą. Mówiono też, że każdy szanujący się mężczyzna w Londynie zabiega o jej względy, i to nie ze względu na jej majątek.

- Powinna panienka ich zobaczyć! - powiedział syn sklepikarza, gdy przyjechał do rodziców w odwiedziny. - Lecą na nią jak muchy na lep.

Chodziły pogłoski o szalonych przyjęciach w Ridgeley Towers. Choć Valessę najbardziej interesowała stajnia, z czystej ciekawości zapytała, w jaki sposób owa dama zdobyła swoją fortunę.

- Odziedziczyła ją po swoim ojcu - poinformowano ją. - On zaś zarobił góry pieniędzy na swoich statkach handlowych. Niektórzy mówią, że przewoził niewolników!

Valessa była wstrząśnięta. Czytywała artykuły potępiające handel niewolnikami. Zdawała sobie sprawę, że ci, którzy nie wahali się brać udziału w tym haniebnym przedsięwzięciu, musieli zarabiać ogromne sumy.

Lady Barton nie załowała pieniędzy na gości. Prócz dorocznego balu myśliwskiego wydawała w Ridgeley Towers niezliczone mniejsze bale i przyjęcia. Syn sklepikarza mówił, że przy takich okazjach służba dosłownie padała z nóg.

Valessa początkowo wyobrażała sobie lady Barton jako kobietę w średnim wieku. Okazało się jednak, iż mimo swego wdowieństwa nie ma jeszcze trzydziestu lat.

Z całą pewnością jest piękna, pomyślała, sięgając po miskę. Zdjęła jeszcze z haczyka starą lnianą ściereczkę, którą na szczęście niedawno uprała, i szybko wróciła do salonu.

Lady Barton miała teraz otwarte oczy, a jeden z dżentelmenów trzymał przy jej ustach płaską butelkę brandy.

- O, jesteś wreszcie! - powiedział mężczyzna, który przedtem polecił jej przynieść wodę.

Valessa postawiła na podłodze miskę i czajnik.

- Pójdę jeszcze na górę i przyniosę trochę płótna na bandaż - rzekła.

- I coś do wytarcia krwi - zażądał.

Valessa zorientowała się, że bierze ją za służącą, ale powinna się była tego spodziewać. Poszła na górę.

Jedynie płótno w domu to była jej własna pościel. Ściągnęła prześcieradło, przekonana, że i tak nie będzie jej już potrzebne. Z nostalgią spojrzała na swój ostatni pled. Aby się ogrzać w chłodne noce, kładła na nim jeszcze stare zasłony napoczęte przez mole. W szufladzie natknęła się na zapomniane nożyczki.

A mogłam za nie dostać co najmniej jedno kurze jajko, pomyślała. Potem znowu zeszła na dół.

Lady Barton już odzyskała mowę.

- Wystarczy, Harry. - Odsunęła butelkę zdrową dłonią. - Zaraz się upiję.

- Najważniejsze, że żyjesz, Sarah - rzekł jeden z mężczyzn.

- Jak ja mogłam tak głupio pozwolić się zrzucić przy tym płocie? - łajęła samą siebie lady Barton.

Valessa zbliżyła się do kanapy i zobaczyła, że nikt nie zaczął nawet przemywać rany. Czekali więc na nią.

- Zastanawiam się - zwróciła się do jednego z mężczyzn - czy nie sprawiłoby panu trudności odcięcie kawałka prześcieradła do przemycia ramienia wielmożnej pani? A potem mógłby pan pociąć resztę na pasy.

Wyglądał na zaskoczonego. Ona zaś uklękła przy sofie i wlała trochę ciepłej wody do miski. Mężczyzna, któremu powierzyła płótno, stojąc bezczynnie gapił się na nią.

- No, dalejże, Cyrylu! Przydaj się na coś - zakomenderowała lady Barton.

- Nie rozumiem, dlaczego miałbym wykonywać brudną robotę - poskarżył się - a ty miałabyś wydawać mi rozkazy.

- Jeśli nie chcesz dla mnie zrobić takiej drobnostki - odrzekła lady Barton - już cię nigdy nie zaproszę.

- Oczywiście, że zrobię dla ciebie wszystko - powiedział pospiesznie Cyryl.

- I to samo dotyczy nas wszystkich - dodał Harry. Cyryl odciął kawałek płótna wielkości chusteczki do nosa i podał Valessie.

- Mam nadzieję, że nie sprawię pani bólu - powiedziała do lady Barton - ale muszę przemyć ranę.

Lady Barton po raz pierwszy podniosła na nią wzrok.

- Kim jesteś? - spytała. - I co robisz sama w tym pustym domu?

- Właśnie... stąd odchodzę - cicho powiedziała Valessa.

Zaczęła bardzo delikatnie przemywać ranę, a lady Barton wydała cichy okrzyk.

- To boli!

- Przepraszam - rzekła Valessa.

- Napij się jeszcze! - zasugerował Harry.

- Dobrze, wszystko jest lepsze niż ból - zgodziła się. Harry podał jej butelkę. Wlała sobie do gardła sporą część jej zawartości.

- Do licha! - zawołała. - To było dobre polowanie mł na. początek sezonu. I musiało mnie ominąć!

- To tylko pech, że spadłaś akurat przy tym płocie - pocieszył ją Harry. - Wyndonbury przesadził go w pięknym stylu.

- To do niego podobne - syknęła lady Barton. - Mam nadzieję, że na następnej przeszkodzie skreśli kark.

- Wielkie nieba! - wykrzyknął mężczyzna, który pierwszy rozmawiał z Valessą. - Myślałem, że wielbisz go na kolanach jak wszystkie kobiety.

- Ładnie to ująłeś, Rolandzie - przyznał Harry.

- Jeśli was to interesuje - oświadczyła lady Barton - jest mi wstrętny. Chętnie bym mu napłuła w tę arystokratyczną mordę.

Valessa wstrzymała oddech. Lady Barton może jest bogata i atrakcyjna, pomyślała, ale mama byłaby oburzona i zgorzonna, słysząc takie wulgarne słowa w ustach damy.

Harry przysiadł w nogach sofy.

- No, o co tutaj chodzi? - zapytał. - Już oszczędzałem na prezent ślubny.

- Możesz zatrzymać swoje pieniądze - parsknęła.

- Ale dlaczego? Co się stało? - dopytywał się Harry.

- Idź i spytaj wielmożnego markiza, on ci da odpowiedź. - Lady Barton niemal wypluwała z siebie słowa.

Przemywając ranę z największą delikatnością, Valessa pomyślała, że mocna brandy uderzyła lady Barton do głowy. Cyryl, który właśnie zrobił dwa długie bandaże z prześcieradła, zapytał:

- Jeżeli Wyndonbury cię obraził, strącimy mu głowę z karku.

- Strąćcie więc! - powiedziała lady Barton. - Oto, na co zasługuje!

- W czym też on mógł ci uchybić? - zastanawiał się Roland. - Myślałem, że wy dwoje gruchacie razem niczym para gołąbków.

Lady Barton zacisnęła wargi. Wreszcie, jakby nie mogąc się powstrzymać, powiedziała:

- Jeżeli chcecie znać prawdę, nie ma powodu, dlaczego mielibyście jej nie poznać. W końcu wszyscy trzej jesteście moimi bliskimi przyjaciółmi. Markiz powiedział mi, że nie jestem dla niego wystarczająco dobra.

Przez moment wszyscy milczeli w osłupieniu. W końcu Harry wykrztusił:

- Co masz na myśli? Co ty mówisz?

- Wczoraj wieczorem zasugerowałam jego lordowskiej mości, że jesteśmy stworzeni dla siebie i moglibyśmy się połączyć.

Roland wydał okrzyk zdumienia, ale Harry rzekł:

- Od dawna uważałem, że powinnaś tak zrobić. Bądź co bądź, gdybyście się połączyli sakramentem małżeństwa, wasze połączone stajnie dałyby początek najsilniejszej stajni w całym kraju!

- Tak i ja myślałam - powiedziała lady Barton. - I nawet on musiał przyznać, że moje klacze są lepsze niż jego!

- Więc w czym rzecz? - zapytał Roland.

- Powiedziałam wam już! - odparła. - Zakomunikował mi: „Moja droga Sarah. Jesteś bardzo ponętna i pełna temperamentu. Jednak gdybym miał się żenić, musiałbym wybrać kobietę, którą moja rodzina uznałaby za równą mi pozycją”.

- Nie wierzę w to! - zdziwił się Harry. - Żaden mężczyzna nie odważyłby się tak powiedzieć!

- O, on to potrafi, to do niego podobne! - wykrzyknął Cyryl.

Podniósł wysoko głowę i zaczął mówić zmienionym głosem:

- W końcu musicie zdać sobie sprawę z tego, jacy jesteście mało ważni, przyjaciele. Ja jestem markizem i to markizem o wysokiej społecznej pozycji!

Valessa była pewna, że Cyryl doskonale naśladował osobę, o której była mowa, Harry i Roland bowiem odrzucili głowy do tyłu i wybuchnęli gromkim śmiechem.

- Markiz we własnej osobie, Cyrylu! Jak żywy! - zawołał Harry. - Zdążyłem już zapomnieć, że tak dobrze naśladujesz ludzi.

- Dlaczego nic mi o tym nie mówiliście? — robiła im wyrzuty lady Barton.

- Nigdy jakoś nie pomyślałem - odparł Harry. - Gdy byliśmy w Eton, zawsze dostawał cięgi za strojenie żartów z nauczycieli i dyrektora. - Roześmiał się i ciągnął: - Potrafił się wcielić w każdego, a jeśli z ukrycia wydawał chłopcom polecenia, myśleli, że to ich wychowawca i robili najdziwniejsze rzeczy pod słońcem, dopóki się nie zorientowali, że to tylko Cyryl.

- Pokaż nam jeszcze raz markiza - poprosiła lady Barton.

Cyryl wyprostował się.

- Oto, co musicie zrozumieć - powiedział. - Zadaję się z takimi prymitywnymi osobnikami jak wy tylko dlatego, że wszyscy dzielimy pasję do koni. Pod innymi względami znajduję was znacznie gorszymi od siebie i, oczywiście, wasza krew ma całkiem inny kolor niż moja.

Wszyscy serdecznie się roześmiali, nawet Valessa nie mogła powstrzymać uśmiechu.

Ramię lady Barton było już przemyte, więc gdy wszyscy umilkli, zwróciła się do Cyryla:

- Czy mógłby pan odciąć jeszcze jeden mały kawałek płótna? Posłuży za opatrunek, który położymy na ranie przed zabandażowaniem.

- Oczywiście - rzekł. - Widzę, że jesteś bardzo zręczną pielęgniarką.

- Musiałam często opiekować się ojcem, gdy odnosił obrażenia przy upadku z konia.

- Twój ojciec miał konie?

- Jednego czy dwa - powiedziała wymijająco.

Starła się zachowywać chłodno i z dystansem, ponieważ nie życzyła sobie rozmawiać o ojcu z tymi aroganckimi młodymi ludźmi. Przypuszczała, że i tak musieli o nim słyszeć. Byliby zażenowani dowiadując się, że córka Chestera mieszka w opustoszałym, walącym się domu.

- Powiem wam, na co mam ochotę - zaszcebiotała Lady Barton, gdy Valessa zaczęła bandażować jej ramię. - Chciałabym coś przekąsić.

Zapadła cisza i Valessa poczuła skierowane na siebie oczy wszystkich zebranych.

- Bardzo mi przykro - powiedziała - ale nie ma nic w domu.

- Dlaczego? - lady Barton spojrzała na nią badawczo, więc Valessa szybko dodała:

- Ponieważ wyjeżdżam... wszystko, co zostało, zjadłam na śniadanie.

Pomyślała, że popełnia błąd, wyjawiając tak dużą część prawdy. Z drugiej strony nie miała innego wyjścia. Zdawała sobie sprawę, iż wszyscy teraz na nią patrzą, choć wcześniej jakby jej nie zauważali.

- Jesteś bardzo wychudzona - powiedziała powoli Lady Barton. - Czy chcesz mi powiedzieć, że...

- Zrobiłam co tylko w mojej mocy, aby opatrzeć ranę wielmożnej pani - przerwała jej Valessa - i jeśli mi pani pozwoli, pójdę teraz wylać wodę.

Mówiąc to podniosła się i wyszła z pokoju, zabierając ze sobą czajnik i miskę, w której woda była czerwona od krwi. Dopiero gdy zamknęła drzwi, usłyszała, jak lady Barton mówi:

- Mam pomysł! Słuchajcie mnie teraz uważnie...



## Rozdział drugi

Valessa wylała brudną wodę i postawiła miskę pod zlewem. Nagle poczuła się kompletnie wyczerpana. Usiadła ciężko na jedynym krześle w kuchni. Obok niego stał mały stolik do gry w karty ze złamaną nogą, której kawałek zastąpiono cegłą. Oparła łokcie na stole, zamknęła oczy i ukryła twarz w dłoniach. Chwilę wcześniej musiała pokonywać schody i przemierzać pokoje w poszukiwaniu potrzebnych rzeczy, teraz więc wszystko zdawało się płaszczyć i wirować dookoła niej. Rozpoznawała u siebie objawy osłabienia i podejrzewała, że nie zdoła dotrzeć do rzeki. Siedziała tak przez jakiś czas, próbując głęboko oddychać.

Lady Barton przypuszczalnie zaczęła się zbierać do odjazdu. Czekwała na odgłosy śmiechów i rozmów całego towarzystwa w hallu, aby odprowadzić gości do drzwi. Potem zadała sobie pytanie, czy warto się trudzić, skoro ich więcej nie zobaczy.

Nagle tuż obok rozległy się kroki i gdy podniosła wzrok, zobaczyła wchodzącego do kuchni mężczyznę zwanego „Harrym”.

- Byłem ciekawy, gdzie się podziewasz - rzekł.

- Jestem... potrzebna? - spytała znużonym głosem. Wyobraziła sobie, jak trudno byłoby jej wstać i iść jeszcze raz do salonu. Harry spojrzał na nią. Nie zdawała sobie sprawy, że jej blada twarz i wyraz rozpaczony w wielkich oczach nie mogły ujść niczyjej uwagi.

- Poczekaj chwilę - powiedział Harry. Wyszedł z kuchni. Słyszała jego kroki w hallu i zdawało się jej, że skrzypnęły otwierane drzwi frontowe. Pragnęła wyjść i obejrzeć konie lady Barton, na pewno doskonałe, ale ledwie trzymała się na nogach. Nie będzie w stanie nawet zbliżyć się do okna. A obiecywała sobie wcześniej, że popatrzy, jak lady Barton i jej przyjaciele w czerwonych kurtkach będą odjeżdżać sprzed ganku.

Ku jej zdumieniu Harry wrócił do kuchni. Trzymał w dłoni jakiś przedmiot, a kiedy położył go na stole, zobaczyła, że to srebrne pudełko na kanapki, podobne do tych, które niegdyś ojciec zwykł zabierać ze sobą w sakwie przytroczonej do siodła, gdy jechał na polowanie. Obok postawił buteleczkę ze srebrnym korkiem, która jak przypuszczała, zawierała brandy.

- Posiłek - oto, czego ci potrzeba - powiedział. Valessa milczała. Dziwne, że on to wie, pomyślała, musi być jasnowidzem albo człowiekiem wyjątkowo spostrzegawczym.

On zaś otworzył srebrne pudełko i zobaczyła jeszcze nietknięte kanapki przeznaczone zapewne na lunch. Bez słowa sięgnął na półkę przytwierdzoną do

ściany, która z tego powodu ocalała przed konfiskatą. Było na niej kilka wyszczerbionych talerzy i jedna szklanka. Resztę kupiła żona farmera. Harry położył kanapki na talerzu i wręczył je Valessie.

- Teraz jedz - rzekł. - A ja tymczasem będę mówił.

- O czym? - zapytała.

- To poważna sprawa - odparł. - Myślę, że powinnaś się też czegoś napić. - Nalał do szklanki trochę brandy i dodał wody z czajnika. Tego ranka Valessa z największym trudem uruchomiła zardzewiałą pompę na podwórzu. Zawsze się zaczynała w czasie mrozów. Ledwie napełniła czajnik. Na szczęście zostało jeszcze trochę do rozcieńczenia brandy.

Stawiając szklankę na stole, Harry powiedział:

- Napij się trochę przed jedzeniem.

- Lepiej... nie... - broniła się Valessa.

- Rób, co mówię! - rozkazał.

Ponieważ łatwiej było wykonywać jego polecenia niż się sprzeczać, usłuchała. Gdy ognisty trunek spłynął Valessie do gardła, jak gdyby na nowo zbudziła się do życia i rumieńce wróciły jej na twarz.

Harry powtórzył:

- Teraz jedz, a ja będę mówił.

Nie miał gdzie usiąść, więc oparł się ostrożnie o blat stołu, uważając na złamaną nogę podpartą cegłą. Wyglądało na to, że stół się nie przewróci, a że kanapki obiecywały rozkosz dla podniebienia, Valessa sięgnęła po jedną. Była przełożona pasztetem, który wydał jej się najwspanialszą rzeczą, jakiej skosztowała od lat. Bezwiednie wyciągnęła rękę po następną kanapkę. W obawie, że zostanie posądzona o brak powściągliwości, popatrzyła na Harry'ego niepewnie.

- A teraz zacznijmy od początku - rzekł - i przedstawmy się sobie. Moje nazwisko brzmi sir Harold Grantham, ale wszyscy mówią mi Harry.

- Ja nazywam się Valessa Chester!

- Bardzo ładne imię! - zauważył uprzejmie Harry. - Miss Chester, potrzebna nam twoja pomoc.

- Moja pomoc! - wykrzyknęła Valessa ze zdumieniem. Nie mogła sobie wyobrazić, w czym mogłaby pomóc temu dżentelmenowi czy lady Barton.

- Wszystko jest naprawdę bardzo proste - powiedział. - Lady Barton organizuje specjalną zabawę, aby rozerwać swych gości po kolacji, i chce, żebyś w niej wzięła udział.

Valessa spojrzała na niego z bezgranicznym zdumieniem.

- Nie rozumiem...

- Jedz dalej, a wszystko ci wytłumaczę. Spojrzała na talerz i ku swemu zdumieniu przekonała się, że już zjadła całe dwie kanapki, nie zdając sobie z tego sprawy.

- Spodziewam się, że mieszkając w sąsiedztwie lady Barton - mówił Harry - słyszałaś o wystawnych przyjęciach wydawanych przez nią.

- Słyszałam, owszem - mruknęła Valessa.

- Na każde przyjęcie stara się wymyślić jakąś nową, naprawdę niezwykłą rozrywkę. Nie jest to łatwe, zwłaszcza gdy wszyscy goście się znają i wiedzą, czego się spodziewać.

Valessa rozumiała, na czym to polega.

- Jej wielmożność właśnie pomyślała, że osoba nowa, której nigdy przedtem nie widzieli, wzbudzi ciekawość gości, zaintryguje ich.

Spojrzał na nią, żeby się przekonać, czy nadaża za jego tokiem rozumowania.

Valessa wypła łyk brandy, zanim powiedziała:

- Rozumiem... ale nie przychodzi mi do głowy nic, czym mogłabym kogokolwiek... zabawić.

- Ja ci powiem, co robić.

- Ale cóż to ma być? Uśmiechnął się.

- Myślę, że będziemy się lepiej bawić, jeżeli wszystko pozostanie niespodzianką zarówno dla ciebie, jak i dla naszych gości. Teraz zaś musisz tylko jechać razem z nami do Towers.

Valessa odłożyła na talerz resztę kanapki, którą właśnie jadła.

- Jechać... z wami?

Wtedy otworzyły jej się oczy i zrozumiała, jaka była niemądra.

- Ależ absolutnie nie mogę tego zrobić.

- Dlaczego?

Rzuciła okiem na swoją znoszoną suknię i nie trzeba było niczego tłumaczyć.

- Rozumiem - powiedział Harry, jakby czytał w jej myślach - że jeśli miałaś wyjechać, twój bagaż został wysłany wcześniej do miejsca przeznaczenia. Dlatego lady Barton zaopatrzy cię we wszystko, czego potrzebujesz.

- Ma pan na myśli... odzież? - zapytała niezbyt mądrze.

- Mam na myśli bardzo eleganckie, modne suknie! - rzekł Harry dobitnie.

Przewidywał, że oczy Valessy zabłysną radośnie, ale ona tylko wpatrywała się w niego badawczo. Potem zapytała:

- Czy to jest... żart?

- Nie, oczywiście, że nie - zapewnił. - Czy sądzisz, że lady Barton nie odplaci ci życzliwością za twoją uczynność i troskliwość?

Valessa nie wyglądała na przekonaną.

- Moja przyjaciółka pragnie okazać swoją wdzięczność, przyjmując cię w swoim domu, i prosiła, żeby ci powiedzieć coś jeszcze.

- Co takiego? - zapytała podejrzliwie Valessa.

- Jeśli weźmiesz udział w owej grze, która zabawi jej przyjaciół, otrzymasz dwieście funtów.

- Dwieście funtów?

Dzieje się tu coś bardzo niedobrego, pomyślała. Lady Barton na pewno chce ją wykorzystać do zrealizowania jakichś niegodziwych albo nieprzyzwoitych zamysłów, skoro jest gotowa tyle zapłacić. Poza tym jak mogłaby pojechać i zamieszkać w Towers, wyglądając tak jak teraz? Może lady Barton i jej przyjaciele chcą ją wystawić na pośmiewisko? Nagle jednak zdała sobie sprawę, że dwieście funtów może odsunąć perspektywę śmierci. Mając taką sumę, mogłaby dostać się do Londynu, tam próbować poszukać posady guwernantki albo damy do towarzystwa. Przynajmniej nie byłoby takiego pośpiechu. Miałyby czas, aby zebrać myśli. Wszystkie za i przeciw kłębiły się w jej głowie. Harry musiał odgadnąć, w jakiej jest rozterce.

- Nasza prośba może ci się wydać dziwna - powiedział cicho - ale czyż nie sądzisz, że to wszystko może być po prostu pewnego rodzaju przygodą? Pomyśl sama, jakież nudne jest życie bez przygód!

- Ale przypuśćmy, że nie będę umiała... wykonać tego, czego oczekujecie... i wszystko zakończy się wielką porażką? - wyjąkała Valessa.

Harry znowu się uśmiechnął.

- Nawet jeżeli to się zdarzy, będziesz miała w kieszeni dwieście funtów i nowe stroje, które, zapewniam, zostały uszyte przez najlepszych i najdroższych krawców na Bond Street.

- Wręcz nie mogę w to uwierzyć.

- Ależ tak, uwierz w to! - nalegał. - Jesteś mądrą dziewczyną i wiesz równie dobrze jak ja, że wszystko jest lepsze niż siedzenie samotnie w tym pustym domu. Jestem pewien, że przecieka tu dach.

Mówił to w taki zabawny sposób, że Valessa roześmiała się cicho, pierwszy raz od bardzo dawna. Nawet jej samej wydało się to dziwne.

- Wobec tego sprawa załatwiona - powiedział Harry. - Wszystko, co masz zrobić, to zdać się na mnie. Sam wyreżyseruję twój występ, i to tak, że będziesz gwiazdą przedstawienia.

- Albo też was wszystkich bardzo rozgniewam! - dodała.

- Obiecuję, że tak się nie stanie, jeśli będziesz robić, co powiem.

Wstał.

- Teraz się przygotuj - rzekł. - Przekażę towarzystwu, że się zgodziłaś. Jestem przekonany, że lady Barton będzie bardzo wdzięczna.

Skierował się ku drzwiom.

- Kiedy... mam wyruszyć? - zapytała Valessa.

- Jak tylko przyjedzie karetka. Kiedy lady Barton spadła z konia, wysłałem masztalera do Towers, może więc przybyć lada moment.

Valessa podniosła się z krzesła.

- Muszę wziąć... płaszcz.

- Zabierz resztę kanapek i wypij do końca brandy. To było polecenie i Valessa wiedziała, że Harry sprawdza jej gotowość do podporządkowania się.

- Zrobię to - rzekła potulnie.

Usłyszała, jak Harry kroczy przez hall i wchodzi do salonu, zamykając za sobą drzwi.

Z kanapkami i szklanką, w której zostało sporo brandy, weszła na schody. Oto znalazła się w świetle marzeń i wszystko to nie może być prawdą, pomyślała. Kiedy dotarła do swojej sypialni, spojrzała na płaszcz leżący na łóżku. Miała go włożyć, aby szybciej pójść na dno, gdy skoczy w nurt rzeki.

To nie może być prawda! - powiedziała do siebie.

Postawiła talerz obok płaszcza i pochłonęła jeszcze jedną kanapkę, spiesząc się, jakby w obawie, że jedzenie może nagle zniknąć. Z rozsądku zjadła także ostatnią i wypła resztę brandy. Zdawała sobie bowiem sprawę, że słabość, która ogarnęła ją w kuchni, może powrócić. Potem włożyła płaszcz. Teraz czuła w swym wnętrzu ciepło, którego tak długo jej brakowało. Kiedy spojrzała w lustro, z otuchą zobaczyła rumieńce na swoich policzkach.

Został jej tylko jeden czepek, który niegdyś należał do matki. Kiedyś całą rodziną pojechali do pobliskiego miasteczka, gdzie odbywał się targ koni. Ojciec kupił dwa trzylatki, na które nie mogli sobie w gruncie rzeczy pozwolić, i nowy czepek dla żony. Elizabeth Chester protestowała przeciw tej zbędnej ekstrawagancji, ale mąż nalegał:

- Chcę, żebyś pięknie wyglądała, moja najdroższa - powiedział - i aby zazdrościła ci każda kobieta, która na ciebie spojrzy.

Elizabeth roześmiała się. Potem odparła:

- Dużo bardziej prawdopodobne, że będą mi zazdrościć ciebie.

- Masz mnie na zawsze! - odpowiedział ojciec. Valessa pomyślała, że nikt nie wyglądał piękniej niż matka, zwłaszcza gdy pełne uwielbienia słowa męża przywołały uśmiech na jej wargi i rozświetliły jej oczy ciepłym blaskiem.

Jeśli umrę, zanim ktoś do mnie przemówi w ten sposób, stracę najwspanialszą rzecz w życiu, powiedziała sobie, zakładając czepek przed lustrem. Potem spojrzała na swój staromodny płaszcz i widoczną spod niego wypłowiałą sukienkę. Chyba żąda zbyt wiele. Oto cudem została ocalona od samobójczej śmierci. To zachłanność chce czegoś więcej.

- Dwieście funtów - wyszeptała. - Ale przypuśćmy, że okażę się bezużyteczna i nie dadzą mi pieniędzy?

Pocieszyła się, że w najgorszym wypadku przynajmniej zobaczy Ridgeley Towers i na pewno zje podczas pobytu tam kilka posiłków. A może, jeśli będzie uczynna i miła, lady Barton znajdzie jej posadę? Nawet praca pokojówki byłaby lepsza niż nic. Usłyszała, jak na dole ktoś otwiera drzwi do salonu, i rozległ się gwar głosów, a wreszcie Harry zawołał u stóp schodów:

- Jesteś gotowa, Valessa? Kareta przyjechała!

- Tak, jestem gotowa - odpowiedziała. Rozejrzała się po swej sypialni. Zdawało się nie do pomyślenia wyjeżdżać z pustymi rękami. Ale nie było sensu nic zabierać. Sprzedała już wszystko oprócz rzeczy zbyt znoszonych, aby nadawały się do użytku. Spiesząc, i nie chcąc już o tym rozmyślać, opuściła pokój i zeszła na dół.

Lady Barton, ciężko wsparta na ramieniu mężczyzny zwanego Ronaldem, właśnie wychodziła z salonu. Śmiała się i było jej z tym bardzo do twarzy. Miała włosy koloru starego złota, który zawdzięczały odpowiednio dobranej farbie. Tego jednak Valessa w swej niewinności nie mogła wiedzieć, a zdawało się jej, że ten ciepły odcień rozświetla i rozjaśnia zapuszczony, ponury hall.

Idący u boku lady Barton Cyryl zawołał na widok Valessy:

- A oto i nasza bohaterka!

- Masz jej więcej nie denerwować - upomniał go szybko Harry. - Boi się, że nie sprosta zadaniu. Wszyscy musicie być dla niej bardzo mili.

- Ależ oczywiście! - zgodziła się lady Barton. - Z niecierpliwością czekam na chwilę, gdy będę mogła pokazać ci mój dom.

Valessa zeszła na dół i stanęła twarzą w twarz ze swą nową chlebodawczynią.

- Czy jest pani zupełnie pewna, że chce pani... mnie zatrudnić? - zapytała z wahaniem.

- Oczywiście, że tak! Harry zrobił krok do przodu.

- Teraz wy, dwie panienki, wsiądźcie do karety - zarządził - my zaś pojedziemy wierzchem na przełaj i będziemy w domu przed wami.

- Dobra myśl! - ucieszyła się lady Barton. Roland pomógł jej przejść przez drzwi i wsiąść do zbytkownej karety czekającej na zewnątrz, zaprzężonej w



parę koni. Na koźle siedział lokaj. Lady Barton ulokowała się na środku tylnego siedzenia, aby nie urazić swego chorego ramienia. Valessa wcisnęła się między nią a ścianę. Miała nadzieję, że jazda nie przysporzy cierpień lady Barton.

- Do zobaczenia, Sarah! - zawołał Harry. - I pamiętaj, co ci mówiłem.

Zatrzasnął drzwiczki, zanim lady Barton zdążyła odpowiedzieć, i konie ruszyły. Valessa obejrzała się na swój dom i znów poczuła, że to wszystko nie może dziać się naprawdę. Gdyby ktoś z wioski zobaczył ją teraz razem z lady Barton, nie uwierzyłby własnym oczom.

- Musisz mi wszystko o sobie opowiedzieć - zagadnęła słodko lady Barton. - Harry mówił, że masz na imię Valessa.

- Valessa Chester, milady.

- Ponieważ przychodzisz mi z pomocą, nie ma potrzeby zachowywać się oficjalnie. Więc będę cię nazywała Valessą, a ty musisz mi mówić Sarah.

Valessa szeroko otworzyła oczy, ale nie odezwała się ani słowem. Jej towarzyszka podróży mówiła dalej:

- Spodziewam się, że Harry powiedział ci, kim jest, i że pozostali dwaj to Roland, lord Freeman i Cyryl, lord Cyryl Fame.

Valessa pomyślała, że chyba całe to towarzystwo składa się z bardzo dostojnych osób. Zdecydowanie najbardziej polubiła Harry'ego, chociaż trochę ją wytrąciły z równowagi jego polecenia i wymagania.

- Jutro wydaję duże przyjęcie - ciągnęła lady Barton - przy okazji steeple-chase. Wiem, że sezon wyścigów już się właściwie skończył, ale przygotowałam specjalne przeszkody, aby rzucić wyzwanie markizowi Wyodonbury'emu. - Jej głos zabrzmiał ostro. - Myśli, że jego konie skaczą najlepiej w kraju, ale jestem pewna, że to moje zwyciężą.

Valessa zanotowała w pamięci nazwisko Wyndonbury. Pomyślała, że to musi być markiz, o którym rozmawiano w salonie. Z całą pewnością rozgniewał on lady Barton i chyba jest człowiekiem napuszczonym i zarozumiałym. Jednak bardziej niż on interesowały ją konie, więc rzekła:

- Zawsze słyszałam, że masz wspaniałą stajnię. Mój ojciec zwykł podziwiać konie, na których jeździłaś na polowania.

- To mój ojciec uczynił te stajnie sławnymi - przyznała lady Barton, bardzo z siebie zadowolona. - On także dołożył starań, aby moje konie wyścigowe zwyciężyły w wielu gonitwach.

Pominęła jednak milczeniem fakt, że jej ojciec urodził się w Liverpoolu i tam zdobył swą fortunę. Frederick Wicket rozumiał, że tylko jeśli pokona sportsmenów na ich własnym polu, zdobędzie poważanie i akceptację w

towarzystwie. Ojciec Wicketa był nic nie znaczącym radcą prawnym, który jednak zapewnił synowi dobre wykształcenie. Młodzieniec zdobył stypendium na uniwersytecie i skończył studia z żelaznym postanowieniem, że zostanie milionerem. Wybił się na szczyty w przemyśle okrętowym i wkradł w łaski jednego z właścicieli floty, który nie miał własnego syna. Po śmierci swego protektora dostał w spadku dwa statki wraz z odpowiednim kapitałem na ich eksploatację. Wtedy nic na świecie nie mogło już stanąć na przeszkodzie Fredowi Wicketowi. Dzięki swej niezłomnej woli i sprawnemu umysłowi piął się coraz wyżej i tak długo wykupywał akcje swych konkurentów albo doprowadzał ich do bankructwa, aż stał się właścicielem największej floty w północnej Anglii. Było mu wszystko jedno, co przewozi, niewolników, bawełnę czy węgiel. Jeżeli w grę wchodził zysk, chętnie używał swoich statków.

Miał już czterdzieści lat, gdy znalazł chwilę czasu, by pomyśleć o znalezieniu sobie żony. Wtedy to wybrał córkę zbiedniałego właściciela ziemskiego, który z trudem mógł uwierzyć, że los zesłał mu takiego bogatego zięcia. Fred Wicket kupił dom w hrabstwie Lancashire i próbował uprawiać styl życia wiejskiego dżentelmena. Rzecz dziwna, młoda żona pokochała go i chętnie służyła radą, jak zrealizować ambicje towarzyskie. Dzięki niej wielu ludzi, którzy kiedyś odrzucili Wicketa jako intruza, przyjęło go do swego grona. Stało się tak dlatego, że żona poddała mu pomysł, aby zaczął kupować konie wyścigowe.

Podobnie jak kiedyś za wszelką cenę chciał posiadać więcej statków niż inni, tak i teraz musiał mieć najlepsze i najszybsze konie. Wkrótce siłą rzeczy jego nazwisko było znane wszystkim bywalcom i uczestnikom wyścigów. Zdobycie pełnej akceptacji tych, którzy do niedawna mijali go zadzierając nosa, było tylko kwestią czasu.

Chciał, aby jego córka dobrze wyszła za mąż. Była jedynaczką, więc powszechnie wiedziano, że odziedziczy ogromną fortunę. Lionel Barton, najstarszy syn baroneta, którego rodowód sięgał czasów Jakuba I, nie miał tak wysokiej pozycji, jakiej Fred Wicket życzyłby sobie dla swego zięcia. Ale siedemnastoletnia zaledwie Sarah zakochała się w Lionelu, a ojciec chciał, żeby była szczęśliwa. Jej mąż odziedziczył tytuł, a tydzień potem niespodziewanie zginął w wypadku. Sarah przeżyła wielką tragedię. Fred Wicket pomyślał filozoficznie, że przynajmniej wyniosła z tego małżeństwa tytuł i już planował, kto zostanie jej następnym mężem. Tymczasem i on nieoczekiwanie zmarł na atak serca. Rok wcześniej pochował swoją żonę, którą, według diagnozy lekarzy, strawiły suchoty.

Freda Wicketa zabiło zmęczenie. Pracował bez żadnego odpoczynku, dążąc z uporem do osiągnięcia jednocześnie pozycji króla finansjery i lidera w dziedzinie sportu.

Sarah miała dość zapamiętałej pracowitości ojca, a zarazem nieposkromioną wolę życia, która kazała jej szybko zrzucić żałobę. Jak tylko czarne suknie poszły w zapomnienie, sprzedała posiadłość w Lancashire, którą zawsze uważała za niewystarczająco elegancką dla swych przyjaciół z beau monde\*.

**\* Beau-monde (fr) - wykwintne towarzystwo.**

Potem zaczęła poszukiwać jakiejś imponującej i malowniczej siedziby. Wybrała w końcu Ridgeley Towers, nie tylko dlatego, że dom miał rozmiary pałacu, ale także dlatego, że był w hrabstwie Leicestershire. W ciągu pięciu lat stała się nieodłączną częścią życia towarzyskiego, w którym wyścigi i polowania uważano za jedyne liczące się sporty. Konie Wicketa były już słynne, a Sarah uszlachetniła jeszcze ich rasę.

Leicestershire słynęło z najlepszych polowań, lady Barton zaś finansowała te, które odbywały się w okolicach Towers, i wspierała kilka innych. Nie można było ignorować kogoś, kto miał największą salę balową, prywatny tor wyścigowy i sto pokoi gościnnych. Wypadało więc puścić w niepamięć wyczyny Freda Wicketa. Kiedy Sarah mówiła o swojej rodzinie, wymieniała tylko krewnych po kądzieli.

Naturalnie miała pewną liczbę kochanków. Już przed zamążpójściem była urodziwą panną. Z czasem rozkwitła w prawdziwą piękność. Nie tylko posiadała oryginalną urodę i wdzięk. Mogła też sobie pozwolić na najwspanialsze i najmodniejsze stroje i najdroższą biżuterię. No i mogła kupić wszystko, co składa się na oprawę kobiecej urody. Jej dom był wypełniony najegzotyczniejszymi kwiatami. Witła swoich gości na tle bukietów orchidei. Jej sypialnia była udekorowana setkami, jeśli nie tysiącami róż, które zmieniały pokój w altanę miłości. Każdy z kochanków lady Barton przynosił się w krainę baśni z tysiąca i jednej nocy. Wszystko u niej było nie z tego świata: od odurzającej woni egzotycznych perfum do bajecznie hojnych prezentów, które rozdawała. Wielu miało nadzieję poślubić Sarah, ale ona posiadała geniusz i przenikliwość swego ojca w sprawach interesów. Doskonale zdawała sobie sprawę, że starający się są w równym stopniu zainteresowani jej majątkiem, co nią samą. Nie miała zamiaru zadowolić się poślednią zdobyczą. Pragnęła doskonałości, czyli męża o ustalonej wysokiej pozycji towarzyskiej, z tytułem szlacheckim. Wielu mężczyzn, którzy figurowali w herbarzu, niestety miało już żony. Niektórzy zaś kawalerowie byli tak mało pociągający, że nie mogłaby dzielić z nimi łoża.

Nie przypadkiem poznała markiza Wyndonbury'ego. Widywała go oczywiście na każdym wyścigach, ale rzadko gościł w domach, gdzie zapraszano Sarah. Drzwi naprawdę wysoko postawionych i dystyngowanych pań domu pozostawały przed nią zamknięte. Nigdy nie była w pałacu Buckingham. Ten fakt nie martwił Sarah, przynajmniej do czasu, gdy zdecydowała, że człowiek, którego powinna poślubić, to markiz Wyndonbury. Jednak zbliżyć się do niego było trudniej, niż się spodziewała. Uchyłał w jej stronę uprzejmie kapelusza na torze wyścigowym, ale gdy próbowała z nim porozmawiać, zdawał się niepostrzeżenie odsuwać, jeszcze zanim zdołała otworzyć usta. Niejednokrotnie prosiła swych co znakomitszych przyjaciół, aby zaprosili go na obiad, gdy i ona będzie obecna. Wszyscy jednak znajdowali jakieś wymówki. Zwykle odpowiadali:

- Na Wyndonburym nigdy nie można polegać, on sam ustala dla siebie prawa.

Albo mówili wymijająco:

- Och, on woli sam wydawać przyjęcia i chodzi tylko do kilku wybranych przyjaciół.

W obliczu nieosiągalnego Sarah była coraz bardziej zdeterminowana. Podobnie jak jej ojciec zawsze zdobywała w życiu wszystko, czego zapragnęła, mimo że często wymagało to trochę czasu.

W końcu osobiście zwróciła się do markiza, mówiąc, że ma kilka klaczy matek i jest przekonana, iż te go zainteresują. Szczęśliwym trafem ta propozycja wypłynęła w momencie, gdy markiz pragnął uszlachetnić krew swych koni wyścigowych i skokowych. Nie patrzył więc na Sarah jak na kobietę, lecz jak na hodowcę. Zaprosił ją na lunch, żeby porozmawiać o koniach. Sarah okazała się czarująca, inteligentna i posiadała bardzo szeroką wiedzę na temat bliski jego sercu. Tydzień później, gdy przyjął zaproszenie do hrabiego Stepple, ku swemu zaskoczeniu ujrzał Sarah wśród gości. Nigdy się nie dowiedział, iż w zamian za wstęp posunęła się do przekupstwa, płacąc długi jednego z synów hrabiego, wynoszące prawie trzydzieści tysięcy funtów.

Sarah umyślnie skromnie się ubrała i nie zakładała zbyt dużo klejnotów. Starła się być czarująca i miła dla wszystkich, tak że pod koniec drugiego dnia goście jak jeden mąż piali z zachwytem na jej cześć. Markiz musiał przyznać, że nieczęsto spotyka się kobietę tak atrakcyjną i zarazem inteligentną. Jednak gdy kładł się spać, nie myślał o Sarah, tylko o jej koniach. Już zasypiał, gdy nagle poczuł koło siebie coś ciepłego i miękkiego, czego przedtem tam nie było. Odwrócił się, żeby rzecz zbadać i otoczyły go ramiona Sarah, a jej wargi spoczęły na jego ustach.

Kobiety, które znały markiza, wiedziały, że choć wygląda na człowieka powściągliwego, potrafi być bardzo namiętnym kochankiem, męskim, a jednocześnie czułym. Byłby z kamienia, gdyby nie przyjął względów Sarah.

Często później we dwoje jedli lunch w domu na Berkeley Street i markiz wychodził dopiero z nadejściem brzasku. Ponieważ pragnęła przyjąć go w Towers, zorganizowała u siebie imprezę, która powinna była go zaciekawić. Zaplanowała steeple-chase, w którym startowałyby drużyna sześciu jeźdźców wybranych przez nią przeciw sześciu zawodnikom markiza, włączając w to jego samego. Pomysł bardzo przypadł do gustu lordowi Wyndonbury'emu. Wysłał do Ridgeley Towers sześć swoich najlepszych koni. Nie mógł się doczekać steeple-chase i kilkudniowego polowania.

Sarah patrzyła, jak nadjeżdża wspaniałym powozem ciągnionym przez cztery identyczne kasztany, i zalała ją fala podniecenia, ponieważ czuła, że jest bliska osiągnięcia swego celu.

Jest mój - powiedziała sobie.

Markiz zatrzymał swoją drużynę przed frontowymi drzwiami, a ona radośnie zbiegła po schodach na powitanie. Ridgeley Towers niewątpliwie wywarł na lordzie Wyndonburym duże wrażenie. Pomyślał, że rozmiarami przypomina koszary, ale wnętrze było ładne i harmonijne. Od zbudowania domu u schyłku ubiegłego wieku dokonano tu wielu innowacji i udoskonaleń. Sarah zatrudniła architektów, którzy mogli się już poszczycić pewną sławą. Była także na tyle mądra, by wzbogacić kolekcję obrazów zapoczątkowaną przez jej ojca. Wzorując się na tym, co słyszała o zbiorach królewskich, kupowała u renomowanych handlarzy dziełami sztuki. Kilku z jej kochanków pochodziło z dobrych starych rodów i od nich czerpała wiedzę na temat malarstwa i rzeźby. Poznała kryteria, którymi kierowała się w tym względzie arystokracja, uniknęła więc błędów w rodzaju kupowania eksponatów tylko dlatego, że były drogie. Dzięki tym wszystkim staraniom zgromadziła wiele dzieł, które wzbudziły podziw markiza. Nie zawahałby się umieścić ich we własnym domu.

Od momentu poznania lorda Wyndonbury'ego Sarah sprytnie prosiła go o opinię na wiele tematów i zdawała się całkowicie na jego sąd w każdej dziedzinie. Tylko raz, kiedy zbliżali się do drzwi stajni, powiedziała przekornie:

- Moja drużyna niechybnie pobije twoją w steeple-chase, ale przedtem pojedziemy na całodzienne polowanie, które na pewno sprawi ci przyjemność.

- Tego jestem pewien! - odparł markiz.

- Oto, co mi się tak w tobie podoba - powiedziała Sarah wsuwając dłoń pod jego ramię. - Nie jesteś zblazowany jak cała reszta bogatych mężczyzn.

- Trudno być zblazowanym mając do czynienia z takimi końmi! - odpowiedział. - A ty jesteś bardzo szczęśliwą kobietą, bo masz naprawdę doskonałą stajnię.

- To właśnie pragnęłam usłyszeć! - odrzekła ciepło. - Także fakt, że znam ciebie, czyni mnie bardzo szczęśliwą kobietą.

Zawahała się przed słowem „znam”, zastanawiając się, czy starczyłoby jej odwagi, by zamiast tego powiedzieć „mam”. Jednak byłby to błąd. Co prawda ostatniej nocy przed wyjazdem z Londynu markiz obsypywał ją płomiennymi pieszczotami, miała jednak nieprzyjemne wrażenie, że gdy wychodził, nie myślał niecierpliwie o następnym spotkaniu. Wmawiała sobie, że się myli, że on szaleje na jej punkcie. Ale nie była całkiem pewna. Markiz krył w sobie tajemnicę, której nie mogła zgłębić bez względu na to, jak bardzo się starała. Wiedziała, że lubi kobiety delikatne, łagodne i mu powolne, taka więc była. Roztropnie pogodziła się z faktem, że lorda Wyndonbury'ego odstręcza wszystko, co wulgarne i pospolite, nie mówiąc już o agresji albo braku powściągliwości. Dlatego też całkowicie nad sobą panowała. Jednak nawet w chwilach najdzikszej namiętności markiz nie wyrzekł słów „kocham cię”. Brał wszystko, co mu ofiarowywała, jakby miał do tego prawo, lecz nie znała jego prawdziwych uczuć. Wszyscy ostrzegali Sarah, że Wyndonbury to najtrudniejszy mężczyzna w Londynie, Nigdy nie opowiadał o swych przygodach miłosnych. Otoczone one były wielką tajemnicą, i nawet najbardziej wścibscy plotkarze nigdy nie byli całkowicie pewni, czy wiedzą wszystko, co wiedzieć „należy”. Ale Sarah wierzyła, że różni się od jego pozostałych kobiet. Która z nich posiadała równie wielką fortunę? To ostatnie mogło się nie liczyć, on sam bowiem był niesłychanie bogaty. Ale któż inny miał takie wspaniałe konie? Któż inny umiał z takim rozmachem wydawać przyjęcia? Któż inny potrafił zaciekawić i zabawić najbardziej rozpieszczonych i kapryśnych mężczyzn z klubów świętego Jakuba?

Mam wszystko - mówiła sobie Sarah - wszystko prócz męża. I to puste miejsce czeka na niego, na markiza.

Z największą uwagą dobierała grono gości zaproszonych na polowanie i steeple-chase. Większość z nich stanowili, oczywiście, mężczyźni, którzy albo byli kawalerami, albo zostawiali na tę okazję żony w domu. Naturalnie pragnęli oni dla rozrywki towarzystwa kobiet i Sarah sprowadziła damy o krwi niemal tak błękitnej jak krew samego markiza Wyndonbury. Dopilnowała, aby nikt nie odniósł wrażenia, że na spotkaniach towarzyskich w Towers bywają ludzie pospoliccy albo dzieją się tu rzeczy skandaliczne czy nieprzyzwoite. Musiała przekonać markiza o jednym: że byłaby z niej idealna żona. Żona, która zabawi



go i uczyni szczęśliwym w łóżu, a w towarzystwie sprostą wszystkiemu, czego się oczekuje od markizy Wyndonbury. Wybrała dla siebie kreację, biorąc to pod uwagę. Była nie tylko wzorem elegancji i piękna, ale także dystygowaną, godną szacunku damą, nie pozwalającą sobie na najmniejsze ekstrawagancje. Na jej biżuterię składały się w większości bezcenne perły. Zrobiła delikatniejszy niż zwykle makijaż. Miała nadzieję, że markiz zauważy jej starania. Siedząc u szczytu stołu podczas kolacji pragnęła, aby pomyślał, jak uświetniłaby jego stół, gdyby została prawowitą małżonką. Pierwszego wieczora po przyjeździe przyszedł do sypialni Sarah. Była wtedy pewna, że wygrała swój wyścig i linia mety znajduje się już w zasięgu wzroku. Obiad był wyśmienity. Podano rzadkie wino, tak dobre, że żaden z obecnych mężczyzn nie omieszkał pogratulować jej piwnicy. Także konwersacja powinna być idealnie zadowolona markiza. Ona sama baczyła, żeby nie okazywać zbytniej z nim zażyłości, kiedy byli wśród innych ludzi. Przeciwnie, pozwoliła, aby inne kobiety się do niego umizgiwały. Kiedy wszyscy udali się na spoczynek i zobaczyła wchodzącego markiza, wyciągnęła przed siebie ramiona z cichym okrzykiem radości. Pokój był pełen orchidei, w poszukiwaniu których przetrząsnęto cały kraj. Były białe z małą bladą różową plamką na każdym z delikatnych płatków. Orchidee nie pachną, więc dywan został spryskany bardzo dyskretnie esencją białych fiołków. Markiz nigdy przedtem nie widział specjalnie zaprojektowanego dla Sarah łóża. Zagłówek miał kształt dużej srebrnej muszli, w której tkwiły dorodne perły. Z drugiej muszli, przymocowanej do sufitu, zwieszały się zasłony z delikatnego tiulu skrzącego się od drobnych diamentów, w których światło odbijało się na tysiące sposobów. Poduszki były obszyte misterną koronką, a ażurowa kołdra haftowana perłami i diamentami. Dyskretnie światło sączyło się zza bukietów kwiatów. W otoczeniu tego wszystkiego Sarah tworzyła obrazek, który każdego mężczyznę przyprawiłby o okrzyk zachwyty.

Na raczej surowych wargach markiza zawitał nikły uśmieszek, gdy szedł w stronę łóża. Miał na sobie długi szlafrok w kolorze królewskiego błękitu, ozdobiony czarnymi galonami, tak że wyglądał na całkowicie ubranego. Stał patrząc na Sarah wyciągającą swe białe ramiona. Potem zdał sobie sprawę, że lady Barton zdobi tylko pojedynczy sznur czarnych pereł na szyi, a poza tym jest naga.

- Myślę, że jestem trochę za ciepło ubrany! - powiedział z nutą rozbawienia w głosie.

Zdjął szlafrok...

## Rozdział trzeci

Markiz zostawił za sobą podniecenie i zgiełk rzezi i skierował konia w stronę Towers. Myślał, że od dawna tak dobrze się nie bawił na polowaniu. Mieli ładną pogodę, a w polowaniu wzięli udział doskonali myśliwi i świetne ogary.

Dotarł do najbliższej drogi opasującej pola. Nie zdziwił go widok sznura nadjeżdżających powozów i grupy masztalerzy, którzy czekali, aby odprowadzić do stajni konie uczestników polowania. Pomyślał, że Sarah niewątpliwie potrafi zorganizować wszystko z klasą. Nie czekał na nikogo i ledwie usadowił się w powozie, woźnica ruszył z miejsca.

Co za ulga nie być zmuszonym jechać wierzchem kilka mil, pomyślał markiz, zaczyna się oziębować. Chciał przygotować się psychicznie do jutrzejszego steeple-chase i spokojnie zdecydować, którzy z jego jeźdźców powinni dosiąść sprowadzonych wcześniej koni. Wybrani przez niego zawodnicy, drużyna figurująca w programie jako Drużyna Wyndonbury, byli bardzo utalentowani. Dwóch wygrało wyścigi płaskie startując z wolnej stopy na własnych koniach. Markiz zdawał sobie sprawę, że drużyna Sarah będzie równie dobra. Na przykład Harry Grantham był pierwszorzędnym w prowadzeniu psów na polowaniu, a lord Freeman doskonale skakał.

Intrygujące zawody, pomyślał, a potem przypomniał sobie pewną bardzo trudną chwilę z wczorajszej nocy. Właśnie skończyli się kochać z Sarah w jej zadziwiającej sypialni i czas było wracać do swojej własnej. Wtedy z głową na jego ramieniu lady Barton powiedziała cicho:

- Staffordzie, kochanie, myślę, że powinniśmy nie tylko zjednoczyć nasze stajnie, co byłoby wspaniałe, lecz także połączyć się ze sobą.

Przez moment senność nie pozwoliła mu zrozumieć, o czym mowa. Potem Sarah wymruczała:

- Stałabym się przykładną żoną, a ty najprzystojniejszym i najbardziej pociągającym mężem na świecie.

Markiz nie wierzył własnym uszom. Nigdy ani przez chwilę nie przeszło mu przez myśl, że romans z lady Barton mógł pociągnąć za sobą małżeństwo. O rękę Sarah ubiegało się wielu mężczyzn. Z wielką pogardą myślał o nich jako o łowcach posagów, którzy nie mogą przejść obojętnie koło tak bogatej wdowy. Ale w jego własnych planach małżeństwo chwilowo nie figurowało. Chciał być wolny i móc się bawić. Doskonale zdawał sobie sprawę, że wcześniej czy później, o czym bez przerwy przypominała mu rodzina, musi postarać się o prawowitego dziedzica. Bardzo pragnął, aby nastąpiło to później. Jeszcze nie

dożył swoich trzydziestych trzecich urodzin i zanim cała sprawa urośnie do problemu, powinno minąć co najmniej pięć albo sześć lat. Dobrze wiedział, że w towarzystwie nie było młodej kobiety, która nie przyjęłaby z radością oświadczyn markiza Wyndonbury'ego. Pozycja na dworze i rodowód, jeden z najstarszych w Anglii, czyniły z niego łakomy kąsek.

Markiz był niesłychanie dumny ze swego drzewa genealogicznego. Jego rodzina odegrała istotną rolę za panowania kolejnych monarchów, od momentu gdy pierwszy Wyndonbury został pasowany na rycerza w bitwie pod Agincourt. Jeden z przodków był doradcą królowej Elżbiety, inny bliskim przyjacielem Karola II i jak mówiono, takim samym szelmą jak monarcha. Markiz wiedział, że dom jego przodków to jeden z najwspanialszych istniejących okazów architektury elżbietańskiej. Galerie obrazów pełne były portretów jego przodków. Jego pradziadów i prapradziadów malowali najwspanialszy im współcześni artyści, na czele z van Dykiem. Markiz nauczył się historii każdego z nich, toteż mógł powiedzieć dumnie: „Nikt w mojej rodzinie nigdy nie popełnił mezaliansu. Mój ojciec zwykł mawiać, że nasza krew jest równie błękitna jak krew któregośkolwiek z królów zasiadających na angielskim tronie”.

Nigdy nawet nie przeszło mu przez myśl, że on sam mógłby zlekceważyć tę tradycję, gdy przyjdzie czas się ożenić. Nachodziło go wielu przedstawicieli arystokracji. Zaledwie dwa miesiące temu książę Kumbrii z pewnym zakłopotaniem napomknął, że ma trzy córki na wydaniu.

- Nikogo nie powitałbym cieplej w mojej rodzinie - rzekł - niż ciebie, Wyndonbury.

Markiz zdołał dyplomatycznie odmówić tej propozycji, nie obrażając jednocześnie księcia. Wyjaśnił, że ma zamiar pozostać kawalerem jeszcze przez długi czas. Bardzo dobrze się pilnował, żeby nie chodzić na bale ani przyjęcia, których gospodarze mieli niezamężne córki.

Ignorował każdą debiutantkę, która przypadkiem znalazła się w domu, w którym gościł. Zdumiał, że Sarah Barton, córka dorobkiewicza z Liverpoolu, zaproponowała mu małżeństwo. Ponieważ był zbyt zmęczony, jego mózg nie znajdował się jak zwykle w stanie pogotowia i dlatego wyrzekł pierwsze słowa, które mu przyszły do głowy.

- Moja droga Sarah. Jesteś bardzo ponętna i pełna temperamentu. Jednak gdybym miał się żenić, musiałbym wybrać kobietę, którą moja rodzina uznałaby za równą mi rangą społeczną.

Sarah zamilkła, więc pomyślał trochę po niewczasie, że mógł ubrać swoją odmowę w bardziej czarujące słowa. Ponieważ nie życzył sobie, aby czuła się

zraniona, pocałował ją i pomyślał odchodząc, że wygląda na całkiem szczęśliwą.

Widział ją tylko dziś rano, gdy dosiadali koni przed hasłem do wyjazdu. Zastanawiał się, czy jest na niego zła. Potem jednak doszedł do wniosku, że nie mogła mówić poważnie. Jak to możliwe, by sądziła, iż poślubiłby kobietę, która, mówiąc bez ogródek, nie należy do jego klasy? Oczywiście Sarah została zaakceptowana przez dużą część baeu monde'u dzięki swojej fortunie i przyjęciom. Nie mogli się oprzeć wystawnym obiadom, balom i hojności. Markiz wiedział wszakże, że wiele dam, w których domach był mile widziany, nie pozwoliłoby Sarah przekroczyć swego progu.

- Ci ludzie z nowymi pieniędzmi - parsknęła w rozmowie z nim pewna wdowa po wysokim dygnitarzu - powinni zostać tam, gdzie ich miejsce.

Markiz spojrział na nią pytająco, więc dodała:

- Mówię o tej kobiecie, Barton. Słyszałam, że jej ojciec zdobył majątek, wywożąc drogą morską tych nieszczęsnych Murzynów z Afryki i sprzedając ich jako niewolników!

Markiz dotychczas tego nie wiedział.

- Czy pani jest pewna, że te historie są prawdziwe? - spytał. - Ludzie często źle mówią o dziedziczkach wielkich majątków, szczególnie jeśli te ostatnie są bardzo piękne.

- Mogę pana zapewnić, że te wiadomości pochodzą z nieposzlakowanego źródła - odparła wdowa z godnością. - Prawdę mówiąc, jeśli to pana interesuje, dowiedziałam się o tej sprawie od ministra skarbu.

Nie było więc mowy o pomyłce i markiz, nie chcąc dalej rozmawiać o Sarah, oddalił się niepostrzeżenie. Potem, gdy usłyszał podobne rzeczy od jeszcze jednej czy dwóch osób, nie miał już wątpliwości. Nie udawał jednak, że nie jest zafascynowany Sarah. Kiedy się spotykali, lady Barton narzucała sobie umyślnie pewne reguły i to nie uszło uwagi markiza. Na przykład nie popisywała się tak bogactwem i nie szastała pieniędzmi, jak zwykła robić przed innymi. Przepych, w którym żyła, przytłaczał markiza. Kwiaty, owoce, wino i jedzenie były tylko małą częścią tego wszystkiego. Jego zdaniem w Towers pracowało zbyt wielu lokajów w ostentacyjnie krzykliwych liberiach. Na łóżkach leżało za dużo haftowanych i obszytych koronką prześcieradeł i poduszek obleczonych cienkim płótnem.

Co więcej, pomyślał, dywany są obrzydliwie miękkie i to samo można powiedzieć o materacach. Doceniał oczywiście, że będąc tak bogata, Sarah zadowalała się tylko rzeczami najlepszymi z najlepszych. Jednak, jak wszyscy ludzie nie posiadający wielu pokoleń znakomitych przodków, wciąż

przekraczała pewne granice. Jediną dziedziną, w której nigdy by jej nie skrytykował, było jeździectwo. Stajnie lady Barton dorównywały jego własnym. Nie był pewien, czy jeden lub dwa z jej koni wyścigowych nie przewyższały tych, które sam posiadał. Ponieważ zdobyła ogromną wiedzę na temat królewskiego sportu, lubił z nią rozmawiać. Przyjechał z wizytą do Ridgeley Towers z bardzo prostego powodu - nie mógł się oprzeć perspektywie obejrzenia stajni wyścigowej Sarah. Chciał także poznać klacze, o których tyle mu opowiadała. Ale ślub? Ślub to całkiem co innego!

Inna rzecz, że potrafił zrozumieć, jak ona to sobie wykoncypowała. Zjednoczenie ich stajni przyniosłoby rzeczywiście wspaniały rezultat. Zgodnie z kobiecą logiką, Sarah wydawało się oczywiste, że i oni dwoje powinni się połączyć. Tak czy inaczej, Sarah w roli markizy Wyndonbury byłaby nie do przyjęcia. Markiz cenił jej temperament, ponieważ mógł przy niej zaspokoić swoje żądze. Jednak myślał o lady Barton w taki sam sposób jak o wyjątkowo ponętnej aktorce, która była jego kochanką rok wcześniej, ślicznej małej baletnicy z Covent Garden. Odbił ją Harry'emu ku wielkiej irytacji tego ostatniego. Dziewczyna, Francuzka, miała fantazję i radość życia, jakiej nigdy nie napotkał u żadnej wyspiarki. Był jej protektorem przez prawie dziewięć miesięcy. Potem pożegnał się z nią, ofiarowując bardzo drogi prezent, który wzbogacił jej kolekcję biżuterii, przedmiot zazdrości całego zespołu, i rozstali się jak przyjaciele. Przynajmniej markiz chciał w to wierzyć. Czasem jednak miewał wyrzuty sumienia, gdy opuszczał kochankę, wiedząc, że oddała mu nie tylko swe ciało, ale i serce. Zawsze żałował takiego obrotu sprawy, ponieważ sam jeszcze nigdy się nie zakochał. Mówiono mu setki razy, jakie cierpienia miłość niesie ze sobą. Na razie często ze wstrętem zapytywał sam siebie, dlaczego musi znosić łzy, wyrzuty i prawdziwą rozpacz, gdy kończył któryś z romansów. Żywił nieśmiałą nadzieję, że nie będzie zmuszony doświadczać podobnych dramatów w przypadku Sarah.

Wyjadę pojutrze, tuż po wyścigu - powiedział sobie. Sarah, jak sądził, oczekiwała, że weźmie udział w dwóch kolejnych polowaniach. Postanowił wyruszyć w drogę wcześniej, zaraz po śniadaniu, co pozwoli mu dotrzeć do Londynu na długo przed kolacją. Przezornie rozstawił cztery zmiany koni po drodze do Towers, aby były w pogotowiu na drogę powrotną. Zastanawiał się, czy Sarah ponowi swoją propozycję małżeństwa. Chyba wystarczająco jasno dał jej do zrozumienia, że jej nie poślubi. Jest zbyt inteligenta, by podejmować ponownie ten temat. W każdym razie zbliżając się do Towers, był lekko podenerwowany. Dopiero gdy powóz zajechał przed wejście, zorientował się, że nie widział dziś Sarah od wczesnego ranka. Wydało mu się to dziwne. Gdy

wchodził do przeładowanego ozdobami hallu, w połowie rzeźbionych, kapiących od złocen schodów ujrzał Harry'ego Granthama.

- Dobry miałeś dzień? - zapytał Harry uprzejmie.

- A co się z tobą działo? - markiz zdał sobie sprawę, że zniknęła nie tylko Sarah, ale i Harry wraz ze swym hałaśliwym towarzyszem, Cyrylem Fane'em.

- Sarah spadła z konia - wyjaśnił Harry.

- Spadła? Dobry Boże! Czy wszystko w porządku?

- Lekko zraniła się w ramię i wypoczywa, ale zobaczycie się na kolacji.

- Cóż za pech! - powiedział markiz. - Straciła wspaniałe łowy, ty zresztą też.

- Wiem - rzekł Harry z żalem - i nie mogę powstrzymać uczucia zazdrości. Zresztą nie pierwszy to już raz przyprawiasz mnie o takowe.

Markiz roześmiał się beztrąsko.

- Jutro będziesz miał szansę wyrównać ze mną rachunki - powiedział. - Wszyscy stawiają zakłady, że albo ty, albo ja wygramy steeple-chase.

- Niech mnie diabli, jeśli nie zrobię wszystkiego, żeby cię pobić - rzekł Harry.

Markiz roześmiał się znowu i poszedł na górę do swojej sypialni. Nie miał pojęcia, że Harry nie żartuje, lecz naprawdę żywi do niego nienawiść. Harry nigdy nie wybaczył markizowi aktoreczki Yvonne i poprzysiął sobie, że pewnego dnia dotkliwie się zemści. Teraz nadarzyła się okazja i był zdecydowany ją wykorzystać.

Leżąc w swym połyskującym srebrem i perłami łożu, Sarah zapytała swojej pokojówki, która przyszła zabrać tacę z herbatą:

- Czy z panną Chester wszystko w porządku?

- Śpi, milady - odparła pokojówka. - Zajrzałam tam jakieś dziesięć minut temu zapytać, czy chce trochę herbaty, ale spała jak dziecko i pomyślałam, że lepiej dać jej spokój.

- Bardzo rozsądnie postąpiłaś - pochwaliła ją Sarah. - Pan Harold powiedział, że musi wypić szklankę mleka, jak tylko się obudzi, i zjeść tyle, na ile tylko będzie miała ochotę.

- Postawiłam jej mleko koło łóżka, milady.

Polecenia Harry'ego były tak jasne i wyraźne, że Sarah zostawiła mu we wszystkim wolną rękę. Kiedy wrócili do Towers, zgodnie z instrukcją Harry'ego natychmiast zjedli lunch. Do stołu usiadło tylko ich pięcioro. Dzięki temu Valessa nie była tak zakłopotana swym wyglądem. Posiłek podano w małej jadalni, której wyjątkowo bogaty wystrój nie odbierał jednak przyjemnej przytulnej atmosfery. Trzeba przyznać, że trzej panowie nie oszczędzili wysiłków, żeby osmielić swego gościa. Gdy już zjadła małą porcję, która



wydawała się jej górą jedzenia, zaczęła się nawet śmiać. Choć nie zdawała sobie z tego sprawy, wyglądała teraz bardzo pociągająco. Potem Harry wysłał ją na górę do łóżka. Poszła w towarzystwie Sarah, która niebawem otworzyła drzwi do najpiękniejszego pokoju, jaki Valessa widziała w życiu. Były tam malowidła na suficie, łóżko z aksamitnymi zasłonami, kilka francuskich mebli i aubussański dywan na podłodze.

- Teraz masz się niczym nie martwić - powiedziała Sarah. - Pozwól tylko Harry'emu uczynić z siebie gwiazdę, która zabawi i zaintryguje naszych gości.

- Chciałabym, żebyś mi mogła powiedzieć, co będę musiała zrobić? - zapytała Valessa lękliwie.

- To popsułoby niespodziankę - zaprotestowała Sarah. - Teraz zadzwonię po pokojówkę, by pomogła ci położyć się do łóżka, a tymczasem pozwól, że moja krawcowa zdejmie z ciebie miarę. Potem dokona odpowiednich przeróbek w sukniach, które mam dla ciebie. Wiem na pewno, że będziesz w nich ślicznie wyglądać.

Valessa pomyślała, że to niemożliwe, skoro jest taka chuda i osłabiona. Ale chociaż nie dała rady zjeść wiele ze smakowitych potraw w czasie lunchu, od dawna nie czuła się tak dobrze. Posłano po krawcową. Gdy przed jej przyjściem przez chwilę były same, Sarah wręczyła Valessie kopertę.

- Nie ma potrzeby jej otwierać - powiedziała. - Wiesz dobrze, co zawiera.

Valessa zarumieniła się.

- Czuję, że nie powinnam brać tak wiele.

- Kiedy zrobisz to, czego oczekuje Harry, przekonasz się, że będą to uczciwie zarobione pieniądze - rzekła Sarah enigmatycznie. - A ja obiecuję ci kilka bardzo pięknych sukien.

Krawcowa zdjęła miarę z Valessy, a kiedy odeszła, pokojówka pomogła się jej rozebrać.

Ubrana w przezroczystą koszulę nocną, która była chyba własnością Sarah, Valessa położyła się do łóżka, wygodniejszego niż wszystkie łóżka, w jakich kiedykolwiek spała. Czuła się jak księżniczka z bajki, leżąc wśród koronek, którymi obficie ozdobiona była cała pościel. Pomyślała, że misternie haftowana kołdra musi być bardzo cenna i powinno się ją trzymać pod szkłem. W pokoju znajdowało się tyle rzeczy, które pragnęła obejrzeć. Zauważyła książki oprawne w czerwoną skórę ze złotymi tłoczeniami, ustawione w małej mahoniowej biblioteczce. Ale kiedy przyłożyła głowę do poduszki, zmęczenie wzięło górę. Jeszcze zanim pokojówka zdążyła uporządkować pokój, Valessa zapadła w sen.

Obudziły ją odgłosy krzątania. Kiedy otworzyła oczy, zorientowała się, że zasłony są zaciągnięte, zapalono świece i dwie pokojówki przygotowują kąpiel w wannie stojącej przed kominkiem. Valessa obserwowała je przez moment, aż ta, która pomagała jej wcześniej, podeszła do łóżka i rzekła:

- Jest tu dla panienki szklanka mleka, panienko, i powiedziano mi, że musi je panienka wypić, jak tylko się panienka przebudzi.

Valessa była pewna, że to jedna z instrukcji Harry'ego. Posłusznie usiadła i wypła mleko. Rozpoznała w nim lekki specyficzny posmak brandy. Poczowała się lepiej. Pokojówki nalały gorącej i zimnej wody z dużych mosiężnych konwi, które przyniósł pod drzwi pokoju lokaj. Słyszała jego głos, gdy wstawiała z łóżka. Ciepła woda miała prześliczny zapach wykwintnych perfum, których nazwy nie potrafiła zidentyfikować, i zdawała się zmywać z niej senność, a trochę także obawy związane z tym, co miała zrobić. Wytarła się wielkim prześcieradłem kąpielowym nagrzanym przy ogniu, potem pokojówka przyniosła jej koszulkę z cieniutkiego jedwabiu obszytą koronką i długą jedwabną halkę. Ku jej zaskoczeniu wszystko doskonale na niej leżało. Pomyślała, że krawcowa Sarah musi być bardzo doświadczona, skoro stać ją było na taką precyzję tylko na podstawie zanotowanych wymiarów. Przyniesiono suknię z białej gazy, której mankiety i dekolte były ozdobione koronkowymi falbankami i bukietkami różanych pączków. Na płatkach róż i na koronce przy dekolcie skrzyły się niczym kropelki rosy drobne diamenty. Wiotką talię Valessy opasywała różowa szarfa zawiązana z tyłu na wielką kokardę. Pomyślała, że to najpiękniejsza suknia, jaką widziała w życiu. Podstarzała pokojówka, która jak się okazało, osobiście usługiwała Sarah, przyszła ułożyć Valessie fryzurę. Jej włosy zostały zaczesane do tyłu i spływały na plecy w złotych puklach. Pokojówka przyprószyła jej twarz pudrem, nałożyła trochę różu na policzki i nieco pomadki na wargi. Valessa słyszała, że damy w Londynie używają kosmetyków, ale jej matka nie robiła tego nigdy. Nie spodziewała się, że nałożą jej makijaż. W pierwszej chwili chciała zaprotestować, ale przypomniała sobie czek w górnej szufladzie toaletki. Jeśli nie ma zamiaru zwrócić tych pieniędzy, powinna robić to, co jej powiedziano. Musiała zresztą przyznać, że gdy pokojówki skończyły, efekt był bajeczny. Zastanawiała się, czy oczekiwano, by zeszła na dół, i właśnie miała o to spytać, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Służąca otworzyła i Valessa usłyszała głos Harry'ego:

- Chcę rozmawiać z miss Chester. Poproś, żeby przeszła do buduaru obok.

Pokojówka dygnęła, a potem wskazała drzwi koło okna. Valessa weszła do buduaru równie luksusowego jak jej wypełniona aromatem kwiatów sypialnia.

Harry czekał na nią. Miała nadzieję, że jej toaleta spotka się z aprobatą. On sam wyglądał bardzo sztywnie w wieczorowym ubraniu. Nie miał na sobie bryczesów, tylko proste długie spodnie, których „prekursorem”, jak mawiał jej ojciec, był świętej pamięci król Jerzy IV za czasów swej regentury. Valessa trochę niepewnym krokiem podeszła do Harry'ego. Potem błagalnie podniosła na niego wzrok. Uśmiechnął się i rzekł:

- Nigdy bym nie zgadł, że jesteś tą samą dziewczyną, z którą rozmawiałem przy kuchennym stole.

Roześmiała się, ponieważ nie to spodziewała się usłyszeć.

- Czy wyglądam odpowiednio?

- Wyglądasz ślicznie, co zresztą sama mogłaś stwierdzić, patrząc w lustro - odparł.

Obejrzał się przez ramię, aby sprawdzić, czy drzwi łączące obie komnaty są zamknięte. Potem powiedział:

- Teraz posłuchaj, Valessa, zabawa-szarada, w której grasz, odbędzie się jutro wieczorem. Dziś chcę, żebyś się bawiła jako nasz gość. Ale idź wcześniej do łóżka, bo jestem pewien, że pragniesz rano oglądać steeple-chase.

Oczy Valessy zabłyśły.

- A czy mogę?

- Ma się rozumieć - zapewnił ją. - Mam nadzieję, że będziesz mi kibicowała i życzyła zwycięstwa.

- Oczywiście! - przytaknęła ochoczo.

- Teraz nie denerwuj się - powiedział Harry. - Tylko bądź czarująca bez względu na to, kto koło ciebie usiądzie przy obiedzie. A jeśli ktoś spyta, skąd przyjechałaś, odpowiadaj bardzo wymijająco.

- Właśnie, co mam mówić?

- Że mieszkasz na wsi, rzadko bywasz w Londynie i uwielbiasz konie!

- To prawda.

- Wiec rozmawiaj o nich - poradził - albo raczej pozwól wszystkim innym mówić, a sama słuchaj.

- Spróbuję... postępować zgodnie z pańskimi radami.

- I przestań wyglądać na zmartwioną - zakomenderował. - Zachowuj się tak, jakbyś się dobrze bawiła.

- Ależ na pewno będę się dobrze bawiła - odpowiedziała Valessa. Roześmiała się: - Jak mogłabym dobrze się nie bawić tutaj w tym wspaniałym domu, mając na sobie suknię, o jakiej trudno nawet marzyć?

- Pragnę, abyś tak się właśnie czuła - ucieszył się Harry. - Teraz chodź, Sarah czeka na ciebie.

Poprowadził Valessę korytarzem. Sarah stała u szczytu schodów i wyglądała cudownie. Była ubrana w szmaragdowozieloną suknię, która zdawała się niemal przezroczysta. Na szyi miała naszyjnik ze szmaragdów, a na złotej głowie tiarę. Gdy podeszli, Valessa czuła, że Sarah ogląda ją od stóp do głów, jakby szukała usterek. W końcu rzekła z uśmiechem:

- Idealnie! Ta suknia jest jak specjalnie zaprojektowana dla ciebie.

Mówiąc to spojrzała na Harry'ego, który przyznał:

- Tak też i ja pomyślałem.

Zeszli ze schodów, Sarah przodem. Dwaj lokaje pospieszyli, aby otworzyć na oścież drzwi do sali zwanej, jak potem dowiedziała się Valessa, francuskim salonem. Sarah wpłynęła do środka niczym wróżka. Przez moment Valessa widziała tylko kandelabry jarzące się setkami świec i kalejdoskop barwnych postaci, wśród których przewijało się wiele purpurowych kurtek. Kobiety w jedwabiach i atlasie wyglądały olśniewająco, niby gwiazdy na firmamencie, błyszcząc od klejnotów. Ku zdziwieniu Valessy Sarah objęła ją ramieniem i pociągnęła w stronę gości, mówiąc:

- Chcę wam przedstawić moją starą przyjaciółkę, Valessę Chester, która wie o koniach tyle samo, co każdy z nas, będzie jutro kibicować mojej drużynie i dzięki jej dopingowi na pewno zwyciężymy.

Rozległ się ogólny śmiech. Potem lord Cyryl Fane i lord Freeman podeszli, by uścisnąć rękę Valessy. Była pewna, że Harry polecił im to zrobić. Została przedstawiona jeszcze wielu dżentelmenom. Wszyscy przeszli do jadalni i do stołu uginającego się pod złotą zastawą zasiadło co najmniej czterdzieści osób. Po raz pierwszy w życiu Valessa jadła ze złotego talerza. Była zresztą pewna, że robi to po raz ostatni. Chociaż jedzenie było wyśmienite, koncentrowała uwagę na tym, co działo się dookoła. Chwilami nie wierzyła, że się tu znalazła naprawdę, że to nie jest tylko wytwór jej wyobraźni.

Wypełniała instrukcje Harry'ego. Rozmawiała o koniach.

- Ma pani swoje własne konie, panno Chester? - spytał jeden z sąsiadów przy stole.

- Mój ojciec miał konie. Jeździłam wierzchem, zanim jeszcze nauczyłam się dobrze chodzić.

Roześmiał się. Potem zaczął jej opowiadać, ile on miał lat, kiedy sam zaczął jeździć, a wreszcie zaczęli rozmawiać o jutrzejszym wyścigu.

- Wyndonbury będzie zwycięzcą - zawyrokował. - Niezmiennie zawsze dostaje to, czego chce.

- Jest więc chyba bardzo zepsuty - zażartowała Valessa, a jej rozmówca znów się roześmiał.

A ponieważ padło nazwisko markiza, poszukała go wzrokiem przy stole. Przed kolacją była zanadto zdenerwowana, żeby się rozglądać. Po kilku chwilach dojrzała markiza. Siedział po prawicy Sarah. Można by go rozpoznać w każdej grupie ludzi, wyróżniał się bowiem wśród zebranych. Widać było, że to mężczyzna z autorytetem i ta cecha wybijała się na pierwszy plan. Poza tym był niesłychanie przystojny.

Ma takie arystokratyczne rysy, pomyślała Valessa, że gdyby mi nie powiedziano, że to on, mogłabym go wziąć a króla.

Uśmiechnęła się, a mężczyzna siedzący po jej drugiej stronie zagadnął:

- Cóż panią tak rozbawiło?

- Moje własne myśli - odparła tajemniczo.

- Wzbudziła pani moją ciekawość - rzekł. - Kim jest ten szczęśliwy mężczyzna, o którym pani myśli?

- Szczerze mówiąc, myślałam o markizie.

- Bardzo wiele osób o nim myśli - brzmiała odpowiedź. - A irytujące jest to, że zawsze myśli o nim dama, która towarzyszy mnie!

Valessa roześmiała się.

- Słyszałam niedawno o jego licznych sukcesach.

- Musiał się urodzić pod szczęśliwą gwiazdą — odparł jej rozmówca - ale często powtarzam sobie, że nic mi nie przyjdzie z zawiści wobec takiego człowieka!

Valessa rozważyła to, potem rzekła:

- Tak właśnie powinniśmy podchodzić do ludzi, którym nigdy nie będziemy mogli dorównać.

- Oto moja rada, panno Chester: nie należy się zakochiwać w Staffordzie Wyndonburym!

- Nie mam zamiaru się w nim zakochać - odparła Valessa - ale oczywiście ma pan rację. Dla każdego byłoby tragedią zakochać się w tym Człowieku z Księżyca.

- To określenie doskonale do niego pasuje - przyznał jej towarzysz - i tak będę od dzisiaj nazywał Wyndonbury'ego. Człowiek z Księżyca!

Kiedy kolacja dobiegła końca, Sarah zabrała damy z jadalni do francuskiego salonu i cichutko powiedziała do Valessy:

- Wyślizgnij się teraz i idź do łóżka, nie mówiąc nikomu dobranoc. Harry chce, żebyś się dziś w nocy dobrze wyspała i czuła się naprawdę dobrze jutro, bo będziesz zajęta cały dzień.

Valessa zrobiła, co jej powiedziano, choć czując się już lepiej, miała ochotę zostać. Pragnęła smakować każdą chwilę tej dziwnej i nieoczekiwanej

przygody. Harry miał rację - to była prawdziwa przygoda! Kiedy dobiegnie końca, na pewno będzie chciała zachować wszystko w pamięci. Gdy dotarła do sypialni, poczuła, jak opada z niej podniecenie, i wiedziała, że dobrze zrobiono, odsyłając ją. Była zmęczona i osłabiona. Dwa posiłki i krótki sen nie wystarczyły, żeby zwrócić jej zdrowie i pogodę ducha, którymi cieszyła się za życia rodziców. Pokojówka czekała już, by jej pomóc w wieczornej toalecie. Kiedy Valessa była już w łóżku, postawiła obok łóżka filiżankę i dzbanek.

- Tu jest mleko, panienko - powiedziała - a jeśli się panienka przebudzi w nocy, ma panienka wypić tyle, ile zdoła.

Na stoliku stało też ozdobne pudełko, które jak się okazało, pełne było ciasteczek.

- Są tu rozmaite rodzaje, gdyby panienka zgłodniała - wyjaśniła pokojówka.

- Właśnie zjadłam obfitą kolację - uśmiechnęła się Valessa.

- W środku nocy może panienka mieć ochotę coś przegryźć - odparła. - Sama często to robię.

Rozejrzała się po pokoju, żeby się upewnić, czy o czymś nie zapomniała.

- Dobranoc, panienko - rzekła - i niech panienka śpi dobrze.

Gdy zamknęła drzwi, Valessa leżała chwilę oparta o koronkowe poduszki, rozmyślając. Więc to prawda! Mieszka w Towers. Jest obsługiwana, rozpieszczana i pasiona niczym świąteczny indyk. W zamian za co? To pytanie wracało do niej raz za razem. Co to wszystko znaczy? Dlaczego bogata lady Barton nagle pragnie ją gościć? Dlaczego ofiarowuje jej piękne suknie? Z jakiego powodu Harry Grantham robi sobie tyle kłopotów w związku z jej osobą? Na razie jednak wszystko zdawało się bez znaczenia. Cokolwiek miała zrobić, nie wierzyła, że to może być coś bardzo okropnego. W szufladzie toaletki leżało dwieście funtów i dostanie więcej pięknych sukni, podobnych do tej, którą miała na sobie dziś wieczorem.

- Mam szczęście, wielkie, wielkie szczęście! - szepnęła. I dodała z głośnym westchnieniem: - Dziękuję ci, Boże... Dziękuję.

W salonie na dole kilka osób zagadnęło Sarah na temat jej przyjaciółki.

- Ona jest bardzo atrakcyjna, Sarah! Jak to się stało, że dotychczas jej nie poznaliśmy? - zapytała lady Mortlake.

- Mieszka na wsi - wytłumaczyła Sarah - i ostatnio była chora. Dlatego właśnie tak wcześniej poszła na górę, żeby odpocząć po podróży.

Panowie przyłączyli się do towarzystwa. Dla tych, którzy chcieli grać, przyniesiono karty. Zza ściany egzotycznych kwiatów, skrywającej małą orkiestrę, dochodziła ścisza muzyka. Markiz grał w karty do północy, potem

wstał od stołu, mówiąc, że idzie się położyć. Opuściłby towarzystwo, nie mówiąc dobranoc, gdyby nie dostrzegła go Sarah.

- Kładziesz się dziś wcześniej, Staffordzie?

Pytała, a jej oczy skierowane na twarz markiza wyrażały bardzo wiele.

- Muszę jutro być całkowicie skoncentrowany - powiedział.

Wyciągnęła do niego rękę, a on uniósł ją do swych warg z galanterią i wdziękiem niezwykłym u człowieka o tak potężnej posturze.

- Przyjdiesz powiedzieć mi dobranoc? - szepnęła ledwo dosłyszalnie.

Potrząsnął głową.

- Naprawdę jestem zmęczony - rzekł - a ty wiesz najlepiej dlaczego.

Posłała mu olśniewający uśmiech i zacisnęła palce na jego dłoni.

- Będzie mi ciebie brakowało.

- Bądź rozsądna - odparł. - Po tym upadku z konia lepiej idź wcześniej spać.

Czy boli cię ramię?

- Trochę.

- Uważaj na siebie.

Jego głos zabrzmiał współczująco. Wyszedł z bawialni. Pomyślał z satysfakcją, że Sarah jest wystarczająco rozsądna, aby nie tracić humoru ani nie obrażać się z powodu jego odmownej odpowiedzi w sprawie ślubu.

To musiał być jakiś nagły, nie przemyślany pomysł - powiedział sobie. - Nie mogła naprawdę się spodziewać, że pojmem ją za żonę.

Jego lokaj już czekał, a kiedy markiz znalazł się w łóżku, rzekł:

- Wszyscy stawiamy, że wasza lordowska mość będzie jutro zwycięzcą.

- Mam nadzieję, że was nie rozczaruję - odparł markiz.

- Prawdopodobieństwo tego jest nikłe, milordzie! Wasza lordowska mość zawsze wygrywa.

To było stwierdzenie faktu. Mimo że markiz słyszał takie pochwały tysiące razy, zawsze sprawiały mu przyjemność. Gdy zamykał oczy, myślał o steeple-chase. Był całkiem pewny, że jego drużyna zdobędzie drogi złoty puchar, który Sarah obiecała w nagrodę.

## Rozdział czwarty

Valessa, jadąc kareta w kierunku toru wyścigowego, była szalenie podniecona. Zawsze pragnęła zobaczyć steeple-chase. Jej ojciec startował w wielu, ale nigdy mu nie towarzyszyła. Słyszała, że wyścigi organizowane przez lady Barton są trudniejsze i bardziej profesjonalne od wszystkich innych w hrabstwie. Teraz, gdy zobaczyła Ridgeley Towers, była gotowa w to uwierzyć.

Tego ranka pokojówka przysłała do sypialni i powiedziała, że Valessa powinna być na dole o wpół do jedenastej. Kiedy zeszła, hall był pełen ludzi. Mężczyźni w czerwonych kurtkach odbierali właśnie swoje kapelusze i rękawiczki od lokaja. Siedmiu występowało w jaskrawoniebieskich strojach, które jak się dowiedziała, zostały zakupione przez Sarah dla reprezentantów Towers. Ich kurtki wyglądały bardzo szykownie, z aksamitnymi kołnierkami, białymi wyłogami i mankietami. Zauważyli jednak, że markiz Wyndonbury zdaje się na nie spoglądać nieco pogardliwie. On sam wyglądał wspaniale w czerwonej kurtce swojej drużyny, a jego buty do JKdy konnej lśniły bardziej niż cholewki pozostałych zawodników.

Drużyny dosiadły koni, a za nimi podążył długi sznur powozów pełnych widzów. Valessie powiedziano, że pojedzie razem z Sarah. Kiedy wsiadła do powozu, zobaczyła na siedzeniu naprzeciwko lorda Cyryla Fane.

- Nie jedzie pan wierzchem? — spytała z zaskoczeniem.

- Sarah nie sądzi, abym był wystarczająco dobry! - rzekł z kwaśnym grymasem.

- Jesteś bardzo dobrym jeźdźcem - powiedziała Sarah. - Po prostu musiałam wybrać tylko siedmiu. Chyba uczciwie przyznasz, że każdy z nich jest niezwykle utalentowany.

- Tak czy inaczej zostałem upokorzony - poskarżył się lord Cyryl, ale już z uśmiechem, a Sarah dodała:

- Ty będziesz przeżywał swój triumf dziś wieczorem.

Wymienili spojrzenia. Valessa zastanawiała się trochę nerwowo, czy to ma jakiś związek z zagadkową zabawą, w której bierze udział. Wiedziała jednak, że nie powinna zadawać pytań. Tymczasem rozglądała się ciekawie dookoła. Jechali przez wspaniały park pełen starych dębów. Tor wyścigowy istotnie był imponujący, a przeszkody, o czym poinformował ją lord Cyryl, najwyższe ze wszystkich, jakie znał i o których słyszał. Rzeczywiście wyglądały na olbrzymie i Valessa bała się, czy jakimkolwiek koniowi starczy sił, aby je pokonać.



Ale gdy zobaczyła markiza na wspaniałym wierzchowcu, zrozumiała, jak bezpodstawne są jej obawy. Niesforny, ognisty ogier był najniezwykłym zwierzęciem, jakie można sobie było wyobrazić. W jego żyłach na pewno płynęła krew arabska. Valessa podziwiała nie tylko konia, ale i jeźdźca.

Nastąpiły przygotowania i ostatnie instrukcje sędziów. Dość długo oczekiwano, aż drużyny ustawią się na linii startu. Valessa przyłapała się na tym, że cały czas śledzi markiza. Wiedziała, że podobnie jak wyróżniał się w towarzystwie przy stole, tak i na torze nikt mu nie dorówna. Obiecała Harry'emu, że będzie życzyła mu zwycięstwa. Jednak nie mogła oderwać wzroku od markiza. Prowadził konia z łatwością, zupełnie bez wysiłku. Tym różnił się od większości jeźdźców. Valessa często przyglądała się swojemu ojcu i czasem chodziła z nim na konkursy albo na Targi Koni, umiała więc ocenić niedościgniony styl jazdy markiza. Wygląda na boga. Albo może na Człowieka z Księżyca, pomyślała z uśmiechem.

Markiz trzymał konia mocno zebranego, jadąc jednocześnie kilka długości przed pozostałymi, aby móc swobodniej najeżdżać na przeszkody. Pierwszą pokonał w doskonałym stylu, mimo że wyglądała na niesłychanie masywną i wysoką. Ogier zdawał się frunąć nad trzecią i czwartą. Potem dołączył do mego Harry i Valessa miała wrażenie, że wyścig toczy się już tylko między nimi dwoma. Z całą pewnością obaj dawali z siebie wszystko. Tempo i technika skoków zapierały dech w piersi. Wyścig składał się z czterech okrążeń toru, a potem do mety prowadziła długa ćwierćmilowa prosta.

Przyglądali się z linii startu, jak konie zrobiły trzy okrążenia. Potem Sarah poleciła woźnicom, aby zabrali publiczność na linię mety. Ponieważ wszystko to było bardzo ekscytujące, Valessa nie słyszała nawet rozmowy lady Barton z Cyrylem. W napięciu obserwowała markiza i pragnęła, aby to on wygrał, ponieważ był jeźdźcem doskonałym.

Powóz stanął przy linii mety. Oglądając się za siebie dojrzeli markiza i Harry'ego, jak ramię w ramię pokonują ostatnie przeszkody. Pozostałe konie galopowały co najmniej dwie długości za nimi i Valessa zdawała sobie sprawę, że oto nadchodzi decydująca chwila. Serce waliło jej w piersi jak oszalałe, gdy obaj jeźdźcy zbliżali się do mety. Ich umiejętności zdawały się jednakowe, a koń, na którym Sarah posadziła Harry'ego, prawie tak dobry jak ogier markiza. Nos w nos podjeżdżali coraz bliżej. W końcu, po mistrzowskim popisie sztuki jeździeckiej, markiz minął metę o głowę przed Harrym. Grupa gości zgotowała obu dziki aplauz. Valessa mogła tylko klaskać w dłonie i żałować, że nie ma z nią ojca. Potem usłyszała, jak Sarah mówi zniżonym głosem do Cyryla:

- Do licha! Chciałam, żeby Harry wygrał.

- Jechał bardzo dobrze - zauważył Cyryl.  
- Nie dość dobrze! - odparła sucho.  
- Nie szkodzi - powiedział lord Cyryl. - Jeszcze dopełni swej zemsty.  
- To prawda - zgodziła się Sarah i uśmiech wrócił na jej twarz. Dwaj jeźdźcy zwolnili i zawrócili w stronę publiczności, a za nimi zawodnicy, którzy też zdążyli już ukończyć wyścig. Markiz i Harry pierwsi dotarli do powozu.

- To był wyjątkowo ekscytujący wyścig - powiedziała Sarah. - Miałeś po prostu pecha, Harry! Ale dałeś z siebie wszystko.

Lord Cyryl rozmawiał z markizem.

- Winszuję! - pogratulował mu. - A jeśli masz zamiar kiedykolwiek sprzedać swego konia, kupuję go!

- Nie rozstałbym się z Saladynem za żadne pieniądze świata - oznajmił markiz. Pochylił się, żeby poklepać ogiera po karku. Valessa zauważyła na jego twarzy wyraz, który świadczył, iż lord Wyndonbury posiada jednak cechy ludzkie. W czasie gdy przyjmował liczne gratulacje, śmiejąc się i rozmawiając, skierowali się z powrotem do Towers.

Na lunchu było blisko sto osób, ponieważ zjechało się wielu sąsiadów, żeby zobaczyć wyścig. Po deserze Sarah wręczyła markizowi ogromny złoty puchar.

- To jakbym przywoziła węgiel do Newcastle\* - rzekła - ale oczywiście daję ci go z najgorętszymi gratulacjami i podziwem, którego nie umiem wyrazić słowami.

\* **Angielskie powiedzenie. Newcastle jest głównym ośrodkiem górnictwa węglowego.**

Mówiąc to patrzyła markizowi w oczy. Valessa odniosła jednak wrażenie, że to nie podziw, lecz złość brzmi w jej słowach, ta sama, którą wyrażała w obecności swych przyjaciół, gdy Valessa bandażowała jej ramię. Markiz z pucharem w dłoniach uśmiechał się ciepło do Sarah.

Jestem pewna, że się myliłam. Już się pogodzili i Sarah nie jest już na niego rozgniewana, pomyślała Valessa.

Gdy wychodzili z jadalni, Harry złapał ją za ramię i powiedział ledwie dosłyszalnym głosem:

- Idź się położyć. Chcę, żebyś wyglądała jak najlepiej dziś wieczorem.

Valessa westchnęła. Słyszała, że po południu ma się odbyć pokaz skoków i bardzo chciała go zobaczyć. Ale stanowczość w głosie Harry'ego przemieniała w rozkaz wszystko, co mówił. Goście wyszli przed dom, aby dosiąść koni albo czekać na swoje karety. Została sama, u stóp schodów. Kiedy jednak znalazła się w łóżku, pomyślała, że Harry znów miał rację. Ciągle była słaba. Ale obfite śniadanie, mleko, które piła przed wyjazdem na steeple-chase, i wspaniały

lunch poprawiły jej samopoczucie. Rozsądek podpowiadał jej, że jeśli dzisiejszego wieczora ma spełnić oczekiwania Harry'ego, musi zebrać siły i mieć sprawny umysł. Nie może sobie pozwolić, aby ogarnęło ją uczucie wycieńczenia, jak to bywało wcześniej. Pokojówka zamknęła okiennice i zaciągnęła zasłony. Kilka minut później Valessa zapadła w sen.

Kiedy się znów obudziła, obok łóżka stała wonna herbata, gorące bułeczki, kanapki i ciastka z kremem. Miała ochotę się roześmiać, ponieważ dokonała się nie tylko przemiana z kopciuszka w księżniczkę, ale także chleb i woda zostały zastąpione nieprzerwaną ucztą.

Mam wielkie, wielkie szczęście - powiedziała sobie po raz tysięczny. Drzemała chwilę, zanim pokojówki przygotowały jej kąpiel. Znowu dano jej piękną wieczorową suknię. Tym razem była bladozielona i udekorowana białymi kameliami. We włosy wpięto Valessie dwie żywe kamelie, a kiedy zeszła na dół, Harry popatrzył na nią z aprobatą. Markiz stał obok Sarah, która wyciągnęła rękę, aby zatrzymać przechodzącą obok Valessę.

- Chodź i powiedz nam, co myślisz o dzisiejszym steeple-chase, Valessa - zagadnęła.

- Nigdy nie widziałam nic równie ekscytującego! - wykrzyknęła.

- Właśnie mówiłem naszej gospodyni, jak dobrze się bawiłem! - rzekł markiz.

- Pana koń jest wspaniały! - ciągnęła Valessa. - A pan był...

Przerwała, myśląc, że to brzmi raczej zbyt wylewnie.

- A ja... co? - spytał markiz.

- Nie mam wprost odpowiednich słów - rzekła Valessa - aby oddać sprawiedliwość tak doskonałej technice jazdy.

- Dziękuję! - uśmiechnął się.

- Mój ojciec zwykł mawiać, że żaden człowiek nie może być dobrym jeźdźcem, dopóki nie stopi się w jedno ze swoim koniem, a koń nie stanie się jego częścią.

Tu uczyniła nieznaczny gest dłonią, dodając:

- Ale to nie jest jeszcze wystarczająco dobre wytłumaczenie.

- Doskonale rozumiem, co pani ma na myśli - odparł markiz. - Nigdy nie słyszałem, by ktoś to w ten sposób wyraził.

Valessa pragnęła jeszcze z nim porozmawiać, ale zbliżył się Harry z mężczyzną w średnim wieku, z którym jeszcze nie zdążyła zamienić ani słowa.

Poproszono wszystkich do stołu. Podano doskonałe potrawy. Na lunchu był tłum gości. Valessa nie zdziwiła się, że teraz zasiedli do stołu tylko ci, którzy zatrzymali się w Towers. Mężczyźni sprawiali wrażenie bardziej hałaśliwych i

wybuchali śmiechem częściej niż poprzedniego wieczora. Zastanawiała się, czy ma to jakiś związek z winem. Zauważyła, że tego wieczora służący napełniali każdy kieliszek, ledwie gość zdążył wypić łyk.

Ona sama zachowała umiar. Wypiła tylko odrobinę szampana. Wiedziała, że przy jej osłabieniu alkohol uderzy jej natychmiast do głowy.

Muszę zachować jasność umysłu na dzisiejszy występ, powiedziała sobie. Wtedy jeszcze raz dało o sobie znać pytanie: Co to za występ? Czy powinna się bać?

Kiedy damy opuściły jadalnię, Valessa poczuła, że nadszedł czas zapłaty. Pamiętała, co mawiała jej stara niania:

- Na tym świecie nigdy nie dostaje się nic za darmo! Była pewna, że to prawda. Otrzymała już więcej, niż

oczekiwała, i teraz trzeba będzie za to zapłacić. Zanim jeszcze znaleźli się w hallu, Sarah powiedziała bardzo cicho:

- Idź na górę! Moja pokojówka, Hannah, czekałby cię ubrać.

Valessa poczuła, jak serce szamocze się jej w piersi. Milcząc weszła po schodach do swej sypialni. Hannah, podstarzała pokojówka, która układała jej wczoraj włosy, czekała już na nią.

- Teraz musi się panienka przebrać - oznajmiła.

- Nie wierzę, żeby to było coś piękniejszego niż suknia, którą mam na sobie - odparła Valessa.

Hannah rozpięła jej haftki na plecach, a Valessa patrzyła na łóżko, gdzie leżała inna suknia i jeszcze kilka części garderoby. Wszystkie były białe. Suknia, którą Hannah pomogła jej włożyć, różniła się od wczorajszej tej z pączkami róży, i dzisiejszej seledynowej. Sięgała do samej ziemi, a z tyłu za nią ciągnął się krótki tren. Nie była wydekoltowana, ale bardzo piękna i przybrana koronką i białymi wstążkami, które na pewno pochodziły z Francji. Hannah posadziła Valessę przy toalecie i zrobiła jej nową fryzurę, a potem nałożyła trochę mocniejszy makijaż. Valessa pomyślała, że już wszystko gotowe. Tymczasem pokojówka podeszła do łóżka i przyniosła jeszcze coś: długi koronkowy welon. Zaczęła go u pi nać na głowie Valessy, która zapytała zaskoczona:

- Przecież to jest ślubny welon, prawda?

- Tak, wielmożna pani miała to na sobie na swym własnym ślubie - odpowiedziała Hannah.

- Ale... dlaczego? — zaczęła Valessa. Potem pomyślała, że to błąd zadawać pytania służącej. Harry organizował tajemniczą zabawę, więc Hannah prawdopodobnie nie wie więcej niż ona.

Welon umocowany na wianku z kwiatów pomarańczy Hannah upięła tak, by zasłaniał twarz. Valessa była bardzo zadowolona, że będzie mogła patrzeć na świat, a raczej na publiczność, niejako z ukrycia. Stroju dopełniały długie białe rękawiczki, lecz Hannah pozostawiła lewą rękę Valessy odkrytą, zapinając tylko guziczek przy nadgarstku. Na koniec dziewczyna dostała do ręki prześliczny bukiet białych róż i konwalii. Wszystko to zajęło trochę czasu, ale gdy rozległo się pukanie do drzwi, była już gotowa. Hannah otworzyła i do pokoju wszedł Harry.

- Zaczekaj na zewnątrz, Hannah - powiedział. Pokojówka wyszła na korytarz i zamknęła za sobą drzwi. Harry podszedł do Valessy siedzącej przed lustrem.

- Wyglądasz wspaniale! - zawyrokował. - Dokładnie tak, jak sobie życzyłem.

- A co mam robić?

- Teraz posłuchaj, Valessa. Chcemy zażartować z naszych znajomych i dać im do rozwiązania zagadkę.

Valessa podniosła głowę i słuchała, patrząc mu prosto w twarz przez welon.

- Wyreżyserowałem ślub, który odbędzie się w kaplicy.

Valessa już przedtem zauważyła, że Ridgeley Towers ma własną kaplicę. Zresztą można się było tego spodziewać, sądząc z wieku domu.

- Ty zagrasz rolę panny młodej - tłumaczył Harry - ale pan młody zostanie wprowadzony na wózku inwalidzkim. Zebrani nie będą go dobrze widzieli, a na nos założymy mu ciemne okulary.

Przerwał na moment, jakby oczekiwał, że Valessa zada jakieś pytanie. Gdy się nie odzywała, ciągnął:

- Obecni w kaplicy zobaczą ciebie, jak wchodzisz do prezbiterium oparta na moim ramieniu, i pana młodego odwróconego tyłem. Rozdaliśmy wszystkim karty, na których muszą napisać imię osoby grającej twego przyszłego męża. Autorzy prawidłowych odpowiedzi otrzymają od Sarah kosztowne nagrody.

Uśmiechnął się przy ostatnich słowach, jakby to był żart. Valessa pomyślała, że pomysł gry jest oryginalny.

- Teraz chodź - powiedział Harry - i nie denerwuj się.

- Jestem pewna, że będę się dobrze czuła - zapewniła go.

- Wszystko, co masz robić, to odpowiadać księdzu dokładnie tak samo, jakbyś to robiła na prawdziwym ślubie. A na potem Sarah przygotowała dla ciebie specjalną niespodziankę.

- Już i tak była dla mnie bardzo hojna - zaprotestowała Valessa. - Nie mogłabym już przyjąć nic więcej.

- Nonsens - zawołał Harry. - Od przybytku głowa nie boli. Chodź, sądzę, że już są gotowi na nasze przybycie.

Valessa wstała. Pomyślała, że oparta na ramieniu Harry'ego nie będzie się bała niczego. Cała rzecz wyglądała na dość zabawny pomysł zapewnienia rozrywki gościom. Harry sprowadził ją ze schodów i przeszli przez hall. Potem długo kroczyli korytarzem, który musiał prowadzić na tyły olbrzymiego domu, prawdopodobnie starszej części budowli. Kiedy dotarli do kaplicy, przekonała się, że miała rację. Wszyscy goście już siedzieli w starych rzeźbionych ławkach. Valessa widziała przez swój welon, jak goście śmieją się i rozmawiają między sobą, ale szeptem, bo grały organy. Kaplica była mała i pięknie udekorowana białymi kwiatami. Jedyne światło dawało sześć świec na ołtarzu. Wszystko różniło się od zwykłego nabożeństwa tym, że pierwsza ławka, obsypana liliami, stanowiła barierę między wiernymi a młodą parą. Valessa pomyślała, że dzięki temu będzie jeszcze trudniej zidentyfikować pana młodego. Kiedy ona i Harry przeszli przez drzwi, organy zagrały hymn „Oto nadchodzi oblubienica”. Zbliżyli się do ołtarza, gdzie czekał na nich duchowny. Valessa przypuszczała, że jest on aktorem i wyglądało na to, że dobrze odgrywa swoją rolę. Miała dziwne uczucie, że gdzieś już widziała tego starego człowieka z włosami i brodą białymi jak śnieg. Potem powiedziała sobie, że to niemożliwe, skoro to aktor. Pamiętając o swojej roli, trzymała głowę lekko opuszczoną, tak jak panna młoda przed ślubem. Widziała jednak kątem oka roześmiane twarze gości, którzy przyglądali się jej badawczo. Ona i Harry przekroczyli barierę z lilii. Teraz, gdy stali przed duchownym, lord Cyryl wprowadził do kaplicy przez drzwi od zakrystii mężczyznę w fotelu inwalidzkim. Mężczyzna był w ciemnych okularach, a jednak, gdy Valessa spojrzała na niego zza welonu, dostrzegła, że to markiz. Siedział zgarbiony, ze złożonymi rękami. Pomyślała, że zebraniem będzie bardzo trudno rozpoznać pana młodego, ponieważ nie widzą jego twarzy poprzez barierę z lilii. Poza tym kaplica prócz ołtarza była pogrążona w mroku. Gdy markiz znalazł się przy boku Valessy, duchowny zaczął ceremonię.

- Ukochani w Panu, zebraliśmy się tutaj...

Valessa często słyszała te słowa w miejscowym wiejskim kościółku. Jej matka z zasady przyjmowała zaproszenia na śluby dziewcząt z wioski i zabierała córkę ze sobą. Dwakroć, gdy była bardzo mała, niosła welon za panną młodą, raz za córką wikarego, potem za córką doktora. Znała na pamięć każde słowo ceremonii sakramentu małżeństwa.

Duchowny zwrócił się do markiza:

- Powtarzaj za mną: Ja, Stafford Frederick Aleksander, biorę ciebie, Valessa...

Markiz powtórzył formułę swoim bardzo charakterystycznym głosem, który z pewnością mógł stanowić wskazówkę dla publiczności. Przyszła jej kolej.

- Ja, Valessa, biorę ciebie, Staffordzie Fredericku Aleksandrze za męża.... - mówiła płynnie i bez zająknięcia.

Podano obrączkę i markiz z pomocą lorda Cyryla, który prowadził jego rękę, włożył ją Valessie na palec. Wyglądało na to, że w gruncie rzeczy to lord Cyryl ją włożył. Uklękli i otrzymali błogosławieństwo. Dopiero wtedy Valessa pomyślała, że nie powinno się drwić z sakramentów. Czuła, że błogosławieństwo kapłana, które zawsze traktowała jako pochodzące od samego Boga, nie powinno być naśladowane przez aktorów.

Ceremonia dobiegła końca. Valessa zastanawiała się, czy ma wyjść nawą u boku markiza, czy też może on powstanie na nogi i zdejmie okulary. Odpowiedź przyszła sama. Cyryl przepchnął markiza obok ołtarza i wyszli z kaplicy przez drugie drzwi, a Valessa podążyła za nimi. Była szczęśliwa, że nie ciągną tego przedstawienia w konsekrowanym miejscu. Jej matka na pewno byłaby wstrząśnięta. Teraz wszyscy prawdopodobnie szli do salonu, gdzie miało nastąpić rozdanie nagród. Lord Cyryl jednak skręcił i znaleźli się w pokoju, który jak wszystkie pokoje w Towers, był luksusowo umeblowany. Na stole stał świecznik z ledwie trzema zapalonymi świecami, kilka karafek i kieliszków. Lord Cyryl pchnął markiza w tę stronę, a Sarah powiedziała:

- Nie zdejmujcie swoich przebrań. Chcemy, żeby pozostali zobaczyli was z bliska, a musimy dać im trochę czasu na przejście z kaplicy do salonu.

- Tak, oczywiście - odparł markiz.

- A ty z całą pewnością zasługujesz na drinka - zauważył lord Cyryl - za to, że wspaniale odegrałeś swą rolę.

Nalał trochę wina do małego kieliszka, a Harry powiedział:

- I to samo dotyczy Valessy. Była absolutnie fantastyczna.

- Oczywiście, że tak - przytaknął lord Cyryl. - Dajcie jej kielich! Należy się jej!

- Nie... dziękuję - uśmiechnęła się Valessa.

- Bzdury! - odparł Harry. - Mamy przed sobą długi wieczór i jako twój scenarzysta nalegam, abyś wypila za twój sukces.

Roześmiała się. Lord Cyryl pochylał się nad markizem, a Harry stał już przed nią z kieliszkiem w ręku. Odłożyła bukiet, podniosła welon obiema rękami i zarzuciła go na wianek. Harry wręczył jej wino, a przynajmniej wszystko wskazywało na to, że jest to wino.

- Teraz wypij do dna - powiedział - bo się rozgniewam! Poczujesz się wspaniale i będziesz mogła przyjmować gratulacje, które ci się słusznie należą.

Gdy brała do ręki kielich, usłyszała, jak markiz mówi:

- Twoje zdrowie, Valessa, i obyś zawsze była szczęśliwa!

- Musisz wznieść za niego toast - podpowiedział Harry zniżonym głosem.

- Tak, tak oczywiście - zgodziła się Valessa. Podniosła swój kielich.

- Piję za ciebie, panie, i oczywiście za Saladyna. Mówiąc to próbowała spojrzeć na markiza, ale lord Cyryl go zasłaniał.

- To był bardzo dobry toast! - wykrzyknął Harry. - Pij do dna!

Chcąc mu zrobić przyjemność Valessa zrobiła, co jej kazano. Bardzo słodki alkohol służył jej do gardła.

- Jakie pyszne wino... - zaczęła mówić.

Nagle poczuła, że musi usiąść. Za nią znajdowało się krzesło i opadła na nie. Pokój wirował dookoła. Z lekkim okrzykiem wyciągnęła przed siebie rękę, jakby szukając oparcia. Potem straciła świadomość.

Valessie zdawało się, że jest w bardzo długim ciemnym tunelu, na którego końcu majaczy blade światło. Zdawało się ono pełgać i mrugać do niej, próbowała się do niego zbliżyć. Nagle usłyszała śmiech i jakichś rozmawiających ludzi. Nie rozumiała, co mówią. Dźwięki były uciążliwe i nie pozwalały pogрузić się z powrotem w sen. Światło robiło się coraz jaśniejsze, a głosy narastały.

- Obudź się, Valessa! Obudź się! - dobiegły ją słowa jakiejś kobiety.

Mimo że powieki zdawały się ciężkie jak z ołowiu, Valessa otworzyła oczy. Zobaczyła twarz Sarah, która znajdowała się gdzieś w górze. Śmiech, coraz głośniejszy, wzrastał, aż stał się w końcu nieznośny, sprawiał ból.

- Obudź się! - rozkazała Sarah.

Obok męski głos powtarzał te same słowa, ale adresowane do kogoś innego. Rysy Sarah nabierały ostrości, twarz wyrazistości. Valessa miała przed oczami diamentową tiarę i ogromny naszyjnik z diamentów na szyi lady Barton.

- Zbudź się, Valessa - powiedziała znowu Sarah - i poznaj swego pana młodego.

Dopiero wtedy Valessa przypomniała sobie o przedstawieniu w kaplicy. Przypuszczała, że teraz zostaną nagrodzeni ci, którzy zgadli, kim jest pan młody. Nagle zdała sobie sprawę, że leży, i to wydało się jej dziwne. Chciała usiąść. Sarah odsunęła się tak, by mężczyzna, chyba lord Freeman, mógł podeprzeć Valessę ramieniem. Została podniesiona i oparta o miękkie poduszki. Jednocześnie spostrzegła, że ktoś tuż obok niej jest podnoszony w podobny sposób. Walcząc ze sztywnymi mięśniami karku powoli odwróciła



głowę i zobaczyła, że to markiz. Już nie miał na sobie ciemnych okularów i powoli otwierał oczy. Wszyscy goście stali wkoło łóżka śmiejąc się i dowcipkując na temat ich obojga. Ogarnęła ją fala pogardy i obrzydzenia. Potem usłyszała, jak markiz mówi:

- Co, u diabła, się dzieje? O co tu chodzi?

- Świątujemy twoje małżeństwo - odparła Sarah. A ty z całą pewnością się pospieszyłeś, kładąc się tak szybko do łóżka ze swoją młodą żoną.

Sposób, w jaki to mówiła, przyprawił Valesę o dreszcz obrzydzenia.

- Nie wiem, o czym mówicie - rzekł markiz - ani skąd się tu wziąłem!

Zrobił ruch, jakby chciał zejść z łóżka. Potem przyłożył rękę do czoła.

- Co mi daliście? - zapytał gniewnie.

- Tylko przyjemny, niewinny narkotyk - odpowiedział Harry - który doprowadził cię dokładnie do takiego stanu, jakiego sobie życzyliśmy. Poczujesz się lepiej, gdy się czegoś napijesz.

Wyciągnął ku niemu kieliszek, ale markiz go odepchnął.

- O czym wy mówicie? - zażądał odpowiedzi. Harry odwrócił się, żeby goście słyszeli, co mówi.

- Pozwól, że ci wytłumaczę: zorganizowaliśmy konkurs, w którym wszyscy mieli odgadnąć tożsamość pana młodego. Był nim, oczywiście, dostojny markiz! Popatrzył na niego, potem ciągnął:

- Widzieliście go wszyscy tylko nieznacznie przebranego, w fotelu na kółkach, jak w kaplicy brał za żonę pannę Valesę Chester.

- Ja odgadłem, kim jest! - zawołał ktoś.

- Ja też - włączył się drugi głos.

- Właściwie to nie było trudne - przyznał Harry - i oczywiście wszyscy otrzymacie nagrody. Ale nie wiedzieliście o jednym, a to jest dowcip dnia. Otóż sakrament małżeństwa był autentyczny, a nasz duchowny to wyświęcony kapłan! Co więcej, Sarah może przedstawić świadectwo ślubu, aby udowodnić, że nieuchwytny markiz w końcu został usidlony.

Przez moment wszyscy oszołomieni trwali w milczeniu. Potem Sarah triumfalnie podniosła w górę papier, który jak zobaczyła Valessa, w istocie był świadectwem ślubu, i mężczyźni zaczęli się śmiać. Śmiali się gromko. Większość na pewno była pijana. Markiz z niesłychanym wysiłkiem spuścił nogi z łóżka i wstał.

- Ten żart posunął się za daleko - powiedział lodowato.

- To nie jest żart - sprostowała Sarah. - To prawda. Otrzymałeś specjalną dyspensę od arcybiskupa Canterbury. A to jest twoje świadectwo ślubu. Jesteś

żonaty, Staffordzie! Żonaty z dziewczyną, którą wczoraj znalazłam w łachmanach, umierającą z głodu w domu ogołoconym z mebli.

Wyrzucała z siebie te słowa markizowi w twarz. Jej głos był przepełniony jadem. Markiz posłał jej spojrzenie ponad pościelą.

- Jak mogłaś zrobić coś takiego? - zapytał.

- Zrobiłam to, aby dać ci nauczkę - odparła Sarah. - Nie byłam dla ciebie wystarczająco dobra! Cóż, mam nadzieję, że będziesz się dobrze bawił w towarzystwie żony, której krew nie jest niebieska, lecz mętna jak woda w rynsztoku.

Po raz drugi zapadła całkowita cisza. Potem mężczyźni znowu zaczęli się śmiać, a ich śmiech zdawał się odbijać echem od ścian pokoju.

- Wyjdźcie! Wyjdźcie wszyscy! - powiedział nagle markiz.

Nie podniósł głosu, ale słowa brzmiały jak rozkaz. Przez moment nikt się nie poruszył. Potem Valessa zobaczyła, jak niektóre damy stojące z tyłu kierują się do drzwi. Markiz czekał. Zdawał się w jakiś przedziwny sposób górować nad wszystkimi obecnymi w pokoju. Wreszcie zostali tylko Harry i Sarah.

- Ty także, Grantham. - powiedział markiz. - Wyjdź, zanim cię uderzę.

- Zabrałeś mi Yvonne - odpowiedział Harry - i mogę ci tylko powiedzieć, że zasługujesz na to, co się stało twoim udziałem!

- A oto - wtrąciła się Sarah - jest żona, która, czy ci się podoba, czy nie, jest teraz markizą Wyndonbury!

Rzuciła na łóżko świadectwo ślubu, które trzymała w ręku. Potem ona także, trochę chwiejnym krokiem, skierowała się ku drzwiom.

- Boże, pobłogosław państwa młodych! - zawołała kpiąco na odchodnym. - I niech oboje zgniją w piekle!

Wyszła z pokoju, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Słuchając tego wszystkiego Valessa miała wrażenie, że zmienia się w kamień. To nie może się dziać naprawdę! Chyba śni jakiś koszmar, z którego nie może się obudzić! Jednak gdzieś na dnie świadomości tkwiło podejrzenie, że to przerażająca rzeczywistość. Czuła rozpaczliwe bicie swojego serca. Miała tak zaschnięte usta, że z trudem potrafiła rozchylić wargi. Zdała sobie sprawę, że jej też podano narkotyk. Markiz przeszedł przez pokój i stanął plecami do kominka. Valessa spostrzegła, że patrzy na nią, i zadrżała. Była bliska szaleństwa. Co zrobić? Jak mu wytłumaczyć, że nie wiedziała, co się dzieje?

Nagle markiz, jakby podjąwszy decyzję, powiedział zachrypniętym głosem:

- Idź i przygotuj się. O świcie stąd wyjeżdżamy.

## Rozdział piąty

Powiedziawszy to, markiz powoli i z godnością wyszedł z pokoju. Nie spojrział nawet na Valesę, ale niemal poczuła fale gniewu płynące w jej stronę jak morze podczas przyływu. Głowę miała jakby wypełnioną watą, a nogi zdawały się nie jej własne, lecz bardzo wolno zdołała wstać z łóżka. Spojrzała na świadectwo ślubu leżące na kołdrze, tam gdzie Sarah je rzuciła. Nie może być prawdziwe, pomyślała w pierwszej chwili. Ale Sarah powiedziała, że specjalna dyspensa została podpisana przez biskupa Cantenbury, a ślubu udzielał autentyczny ksiądz. Zadrzała. Zdołała dojść do drzwi i znalazła się w tym samym korytarzu, z którego wchodziło się do jej sypialni. Nie było nikogo w pobliżu, chociaż z dołu dobiegały śmiechy i rozmowy. W pokoju nie zastała pokojówki, ale ku swemu zdumieniu zobaczyła przy szafie wielki kufer. Był otwarty i leżały w nim pakowane suknie od Sarah. Pomyślała ze zgrozą, jak dokładnie przemyślany i zaplanowany został każdy szczegół tej upodlającej historii. Przewidzieli, że markiz chce natychmiast wyjechać i będzie musiał wziąć ze sobą swą nieszczęsną żonę. Chciała się temu sprzeciwić, uciec. Ale obawiała się, że wtedy markiz może próbować siłą nakłonić ją do posłuszeństwa na oczach służby.

Trudno było myśleć albo planować, co należy zrobić. Popatrzyła na zegar na kominku. Nie było jeszcze drugiej. Jeśli markiz życzył sobie wyjechać o porannej zorzy, zostało ponad cztery godziny oczekiwania. Była całkowicie wyczerpana. Ledwie trzymała się na nogach i nie mogła logicznie myśleć. Mleko, które zostawiono dla niej poprzedniego wieczora, stało na stoliku przy łóżku. Wypiła kilka łyków i pozbyła się suchości w gardle. Jednak ogłupiające działanie narkotyku nie mijało. Zasnęła prawie natychmiast.

Zdawało jej się, że upłynęło zaledwie kilka minut, gdy rozległ się głos pokojówki:

- Jest szósta rano, panienko, i jego lordowska mość pragnie wyruszyć za pół godziny.

Przez moment Valessa nie rozumiała, o co chodzi. Potem przypomniała sobie wszystko.

- Muszę wstać! - powiedziała, zwracając się raczej do siebie samej niż do pokojówki.

- Przyniosłam śniadanie, panienko. Poczuj się panienka lepiej po filiżance kawy.

Służąca musi sobie wyobrażać, że wczoraj za dużo wypila, pomyślała. Potem spojrzała na zmiętą białą sukienkę leżącą na podłodze tam, gdzie ją

rzuciła, i zrozumiała, o co ją podejrzewa ta dziewczyna, ale to nie miało już żadnego znaczenia. Pragnęła tylko wyrwać się stąd i nigdy nie oglądać Harry'ego Granthama ani Sarah Barton, którzy oszukali ją równie zręcznie jak markiza. Zmuszając się do zjedzenia śniadania i picia kawy myślała, że to, co się stało, nie może być legalne. Ale miała przerażające uczucie, że jest legalne. Z całą pewnością nawet Sarah nie mogłaby podrobić specjalnej dyspensy ani świadectwa ślubu. Wypiła trochę więcej kawy i nagle wstrzymała oddech z przerażenia. Ksiądz podpisał świadectwo ślubu nazwiskiem. Rowlandson. Przypomniała sobie, kto to taki. Był wikarym w Ridgeley, parafii obejmującej Towers. Raz, gdy ich własny kaznodzieja zachorował, wielebny Rowlandson przybył do wioski, aby odprawić mszę w niedzielę. Wtedy był młodszy i nie miał tylu siwych włosów. Dlatego wczoraj wydał jej się znajomy.

- To prawda! To prawda! - zdawał się skandować szydery chór mężczyzn, którzy śmiali się z nich obojga ostatniego wieczora. Nagle sparaliżowało ją uczucie, że mogą czekać na dole, by znów z nich szydzić.

Pokojówka stała przy szafie, zdejmując z wieszaka stroje, które przygotowano najwyraźniej na dzisiejszą podróż. Była tam ciepła suknia i gruby płaszcz z futrem. Te rzeczy należały do Sarah i Valessa w pierwszej chwili chciała odmówić ich włożenia. Ale nie było śladu po sukni i płaszczu, w których przyjechała, i w końcu powiedziała sobie, że byłaby głupia, gdyby wyjechała bez kufra. Potem nagle przypomniała sobie kopertę z pieniędzmi. Zajrzała do szuflady toaletki i w jednej przerażającej chwili zorientowała się, że jest pusta. Pokojówka, która zdążyła tymczasem zapiąć jej suknię, powiedziała:

- Kiedy panienka wczoraj wieczorem poszła na obiad, jej wielmożność kazała mi wszystko spakować. Ust z szuflady włożyłam do torebki panienki.

Na krześle rzeczywiście leżał ozdobny satynowy woreczek. Valessa pomyślała z ulgą, że będzie przynajmniej finansowo niezależna od markiza. Poprosi, aby zabrał ją do domu, a może do zajazdu pocztowego, gdzie można wynająć powóz. Wszystko lepsze niż dalsze przestawanie z Sarah Barton. Przypomniała sobie, jak niegodziwie przemawiała wieczorem, jej wulgarne zachowanie i nienawistne spojrzenie. Jest pospolita i okropna, pomyślała. Mam nadzieję, że nigdy jej już nie zobaczę.

Pokojówka przyniosła piękny czepek dobrany do płaszcza i Valessa właśnie go zakładała na głowę, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

Otworzono i męski głos zapytał:

- Czy kufer gotowy?

- Tak - odparła pokojówka - ale będzie go pan musiał zaciągnąć rzemieniem, panie Bowers.

Bowers wszedł do pokoju i powiedział:

- Dzień dobry, panienko! Jego lordowska mość chce wyruszyć, jak tylko będzie pani gotowa. Teraz wyprowadzają konie ze stajni.

- Jestem już gotowa...

Pomyślała, że ten mężczyzna jest lokajem markiza. Gdy dźwignął kufer i wynosił go na zewnątrz, pokojówka rzekła:

- Jest też pudło na kapelusze, panie Bowers, i proszę go nie zapomnieć.

- Nie zapomnę - odpowiedział.

W korytarzu prawdopodobnie czekał drugi lokaj, aby pomóc mu w noszeniu bagaży, bo Valessa usłyszała zza drzwi jeszcze jeden męski głos. Gdy obaj już się oddalali, ostatni raz spojrzała na siebie w lustrze. Była blada, pod oczami miała głębokie cienie, prawdopodobnie spowodowane działaniem narkotyku.

- Do widzenia! - powiedziała do pokojówki. - Przykro mi, że nie mam pieniędzy, aby wyrazić moją wdzięczność, ale istotnie, jak najprawdopodobniej odgadłaś, nie mam grosza przy duszy.

- Nie szkodzi, panienko! - roześmiała się pokojówka. - Życzę szczęścia! Gdziekolwiek panienka jedzie.

Valessa pomyślała, że w rzeczy samej szczęście będzie jej potrzebne, ale nic nie powiedziała. Pospieszyła schodami na dół. Ciągle miała trochę zeszywniałe nogi.

Markiz był w hallu. Jeden z lokajów pomagał mu włożyć płaszcz, a drugi wręczał cylinder i rękawiczki. Na szczęście nie było nikogo więcej. Miała nadzieję, że goście wypili za dużo poprzedniej nocy, aby zdawać sobie sprawę, co się dzieje w domu. Faeton markiza czekał na zewnątrz. Lord Wyndonbury zaprojektował go sam na swój użytek, o czym Valessa nie wiedziała. Inaczej, niż inne, miał on miejsce na bagaż pod wysokim tylnym siedzeniem dla lokaja. Markiz lubił, aby jego służący podróżował z nim. W ten sposób Bowers przyjeżdżał na miejsce razem ze swym panem i nie trzeba było czekać na powóz aprowizacyjny, w którym zwykle jechała służba i bagaż. Pozostali członkowie świty markiza podróżowali wierzchem. Valessa zauważyła, że dwaj czekali obok powozu. Jeden siedział na Saladyńce, a drugi na innym równie doskonałym koniu. Lokaj pomógł jej wejść do powozu, podczas gdy markiz wsiadł z drugiej strony. Valessie otulono kolana grubym pledem podbitym futrem. Pomyślała, że chyba w nocy złapał mróz. Słońce jeszcze nie wzeszło i było bardzo zimno. Markiz kazał ruszać.

Dopiero gdy pokonali krótki odcinek podjazdu, Valessa zapytała cichym niepewnym głosem:

- Czy pan... mógłby...

Zanim zdążyła powiedzieć coś więcej, markiz nie odwracając głowy rzekł:

- Proszę o ciszę! Nie życzę sobie żadnych rozmów, dopóki nie znajdziemy się w Londynie.

Chłód, którym powiało z tych słów, uświadomił Valessie, jak bardzo markiz jest rozgniewany. Kształt kanciastej brody i mocno zaciśnięte wargi wskazywały na to, że z trudem powstrzymuje się od wybuchu. Odsunęła się więc tak daleko, jak tylko mogła, i przycisnęła do ściany powozu. Siedzenie było porządnie wypchane i bardzo wygodne, siedziała jednak jak na szpilkach. Chciała mu powiedzieć, że to nie jej wina, że została oszukana, podobnie jak i on. Tymczasem musiała milczeć. Zastanawiała się, jak długo potrwa ta cisza.

Ridgeley Towers było oddalone od Londynu osiemdziesiąt mil. Markiz wiedział, że wiele lat temu Książę Walii, późniejszy król Jerzy IV, pobił rekord w powożeniu, jadąc do Brighton. Jego królewska mość przebył pięćdziesiąt trzy mile w pięć i pół godziny. Markiz był pewien, że swoim zaprzęgiem może osiągnąć lepszy wynik. To właśnie zaplanował wczoraj, gdy zdecydował się opuścić Towers od razu po śniadaniu i zdążyć do Londynu na obiad.

Był zdecydowany pokonać tę drogę jak najszybciej. Ale teraz miał co innego w głowie, nie zamierzał jednak rozmawiać o tym z kobietą siedzącą obok. Jak to możliwe, zapytywał sam siebie, że mogłem zostać wyprowadzony w pole w tak skandaliczny sposób? Pomyślał, może trochę zarozumiale, że Sarah go kochała. Często tak bywało, gdy miał romans z jakąś ślicznotką. Wiedział, że w gruncie rzeczy sam ponosi winę za to, co się stało. Ze względu na swe pochodzenie, a tym bardziej charakter, Sarah nie była odpowiednią kandydatką na żonę, a z drugiej strony nie miał tu do czynienia z Płatkiem Róży czy Ognistą Cecylią. Tamte mógł spławić, gdy nie był już zainteresowany ich wdziękami. Sarah natomiast pragnęła ślubu. Dlatego poczuła się znieważona i uwłaczał jej fakt, że nie uważał jej za odpowiednią kandydatkę na stanowisko markizy Wyndonbury. Każda inna kobieta na pewno szlochałaby na jego ramieniu. Pokazałaby mu, jak bardzo ją unieszczęśliwia, ale na koniec, oczywiście, pogodziłaby się z tym, co nieuniknione. Sarah miała zbyt wiele ze swojego ojca. Markiz wiedział, że Fred Wicket walczył jak tygrys, aby dostać się na szczyty, niepomny na losy ludzi, których po drodze unicestwiał. Sarah postawiła sobie za cel zrujnować jego pozycję towarzyską i bez wątpienia jej się to udało. Poprzedniego wieczora podczas rozmowy ledwie dostrzegł nieszczęsne stworzenie, które zostało wkrótce potem jego żoną, ledwie pamiętał, jak wygląda. Na pewno była bardzo chuda, nie wiedział nawet, czy podczas obiadu miała na sobie odpowiedni strój. Jeśli Sarah mówiła prawdę i ta kobieta pochodzi z rysztocka, co można na to wszystko poradzić? Już widział

miny swoich krewnych, gdy się dowiedzą, że on, którego błagali i prosili, aby się ożenił, sprawił sobie taką żonę. Brakuje tylko, żeby ta mała mówiła akcentem cockney\*.

\* **Cockney - gwara londyńska z uboższych dzielnic.**

Oczywiście i ona będzie triumfowała, pomyślał z rozpaczą, tak jak wczoraj wieczorem Sarah pokazująca mu świadectwo ślubu. Jej twarz, która zawsze wyglądała bardzo atrakcyjnie, stała się groteskowo szpetna, gdy szydziła pogardliwie. „Twoja żona, czy ci się to podoba, czy nie, jest hrabiną Wyndonbury”.

W uszach brzmiał mu śmiech mężczyzn gapiących się na niego przez pręty łóżka. Widział zmieszanie i zaskoczenie w oczach kobiet z tyłu pokoju. Wyobrażał sobie, jak cała historia będzie opowiadana i powtarzana w całym Londynie, w bawialniach i buduarach jego przyjaciół i, oczywiście, w Pałacu Buckingham, a ten skandal bynajmniej nie ubawi króla i królowej.

Inteligencja markiza podpowiadała mu, że już zbyt długo cieszył się swą dobrą passą. Wielu ludzi, nawet tych, którzy mieli w zwyczaju korzystać z jego gościnności, byłoby uszczęśliwionych widząc go strąconym z piedestału. Konie ze stajni Wyndonbury'ego zbyt często pierwsze mijały linię mety. Podbił serca zbyt wielu pięknych kobiet. Często zawracał w głowie wdzięcznej rusałce, którą interesował się inny mężczyzna, tak jak to było w przypadku Yvonne i Harry'ego. Oczywiście wiedział, że musi budzić sporo zazdrości i zawiści. Teraz zostanie postawiony pod pręgierzem jako głupiec, którego podstępnie wplątano w małżeństwo z kobietą z rynsztoka, a wszystko na dodatek miało miejsce, gdy był tak otumaniony, że nie wiedział, co się z nim dzieje. To upokarzające być nieprzytomnym w czasie własnego ślubu, pomyślał.

Pamiętał, że wczoraj, kiedy panie opuściły jadalnię, dookoła stołu zaczęły krążyć butelki porto. Za dwadzieścia minut panowie mieli dołączyć do dam. Wówczas Harry, który pełnił obowiązki gospodarza, powiedział.

- Poczekaj chwilę, Wyndonbury! Sarah mnie prosiła, żeby poczęstować cię szklanką specjalnego porto. Mówi, że jest bardziej dojrzałe niż te, które dotychczas pijała.

Przypomniał sobie, jak odpowiedział:

- Naprawdę, myślę, że mam już dość.

- Powinienem być pomyśleć o tym wcześniej - przyznał Harry. - Ale spróbuj tylko. Na wypadek gdyby ci smakowało, Sarah przygotowała dla ciebie jedną skrzynkę. Może chciałbyś ofiarować ten trunek jego królewskiej mości.

Markiz doskonale wiedział, że król zawsze oczekuje podarunków. Był też całkowicie pewny, że wszystko, co Sarah kupuje, jest nie tylko drogie, ale i

doskonałej jakości. Dlatego też pozwolił, aby Harry nalał osobliwego porto do czystego kieliszka. Skosztował trochę i pomyślał, że ma dobrą konsystencję i różni się od pozostałych lekkich porto, które zazwyczaj pijał.

- Co o tym myślisz? - spytał Harry.

Wypił jeszcze dwa łyki i zastanawiał się, co powinien powiedzieć. Tymczasem w pokoju nagle zrobiło się ciemno i nic już więcej nie pamiętał.

Jak mogłem przewidzieć, że Grantham tak się zachowa?, zapytywał sam siebie. To nie do wiary, by knuł i planował zemstę tylko z powodu błędnego epizodu z Yvonne.

Jechali, a on czuł, jak miarowy tętent końskich kopyt i turkot kół powozu zdaje się powtarzać pytanie: Co zrobisz z tą kobietą? Co zrobisz z tą kobietą?

Zawrotna prędkość zrazu napełniała Valessę radością i uniesieniem. Nigdy w życiu nie jechała tak szybko. Widziała, że markiz powozi równie dobrze jak jeździ wierzchem. Z takim znawstwem przedmiotu nigdy w życiu się nie spotkała. Ojcu na pewno sprawiłoby przyjemność powożenie tymi doskonale dobranymi i idealnie sprzężonymi kasztanami. Oczarowałyby go też ruchy Saladyna, który galopował na poboczu. Siedzący na nim masztalerz był bardzo dobrym jeźdźcem. Ale Valessa nie mogła zapomnieć, jak wspaniale wyglądał markiz, kiedy najeżdżał na przeszkody. Przynajmniej zachowam to piękne wspomnienie, pomyślała. Potem zaczęła planować, że gdy tylko się jej uda pomówić z markizem, oznajmi mu, że chce wrócić na wieś i zamieszkać we własnym domu. Jeśli będzie bardzo rozważnie dysponować pieniędzmi, które dała jej Sarah, zdoła umeblować swoją sypialnię i salon. Tego, co jej zostanie, na pewno starczy na jakiś czas. Będzie się trzymała z daleka od markiza. Może otrzyma od niego po jakimś czasie pensyjkę, jeśli nie będzie chciał, aby przymierała głodem. Jeżeli nie, pojedzie do Londynu. Od dziecka miała w zwyczaju opowiadać samej sobie historie. I teraz zaczęła dokładnie planować każdy szczegół mającej nadejść przyszłości. Istnieją chyba biura pośrednictwa pracy, gdzie mogłaby się dowiedzieć o dostępne posady. Z pewnością umiałyby uczyć małe dzieci, choć sama nie wyglądała na dorosłą. Guwernantka zawsze kojarzy się z osobą w średnim wieku. Może mogłaby zostać damą do towarzystwa jakiejś starszej arystokratki, chociaż prawdopodobnie i na to jest za młoda.

Będiesz musiała mnie wspierać z nieba, mamó, westchnęła w głębi serca. Potem, zupełnie jakby tymczasem zapomniała o jego istnieniu, popatrzyła na markiza. Był jej mężem! Wzięli ślub i jedyna droga do przeprowadzenia legalnej separacji wiodła przez obie izby parlamentu. Łatwo można sobie wyobrazić, jakim wstrętem napełniłby markiza skandal, plotki i sprawozdania



w gazetach. Wiedziała, że to wszystko byłoby przerażające dla niego i upodlające dla niej. Pamiętała, jak ojciec mawiał:

- Nazwisko damy może figurować w gazetach tylko w dniu jej narodzin, ślubu i śmierci.

Co mogę zrobić, papo? - spytała w duchu. Nie było odpowiedzi.

Przebyli dwadzieścia mil. Potem markiz skręcił do zajazdu, gdzie czekała zmiana jego własnych koni. Powiedział do Valesy:

- Masz piętnaście minut i nie każ mi czekać!

Bowers pomógł jej wysiąść z powozu. W zajeździe szynkarka w fikuśnym czepku na głowie wzięła ją na górę do sypialni, gdzie mogła się umyć i uporządkować strój. Pomyślała, że minęło już sporo czasu od śniadania i właśnie miała poprosić o jedzenie, kiedy wniesiono je do pokoju. Na tacy było zimne mięso i kieliszek szampana. Rozsądek podpowiadał Valesie, że musi jeść, jeśli nie chce zasłabnąć w drodze. To niechybnie rozsierzdziłoby markiza. Wypiła trochę szampana, aby zaostrzyć sobie apetyt. Trudno jej było przełknąć mięso, ale wmusiła w siebie tyle, ile mogła. Gdy Bowers zapukał do drzwi z wiadomością, że markiz jest gotowy do wyjazdu, dopiła resztę szampana. Znowu wyruszyli, tym razem czwórką gniadych. Yalessa oparła się wygodnie i zamknęła oczy. Doszła do wniosku, że markiz zabiera ją do Londynu, przed nimi więc długa droga. Obawiała się, że znowu może zasłabnąć, co jej się często zdarzało, zanim opuściła dom.

Nie mogę się zanadto zmęczyć, powiedziała sobie, bo kiedy dojedziemy, muszę z nim pomówić o swojej przyszłości.

Gdy dotarli do kolejnego zajazdu, gdzie czekała zmiana koni, czuła się jednak bardzo wyczerpana. Tu podano lepszy posiłek. Stało się tak dlatego, że markiz wysłał przodem forysia, który postawił właściciela w stan pogotowia. Przygotowano więc dla nich gorącą zupę i pieczonego kurczaka dla Valesy. Na deser były do wyboru szarlotka albo ser, ale czuła się taka syta po głównym daniu, że odmówiła. Natomiast filiżanka parującej kawy sprawiła jej wielką przyjemność. Pomyślała, że odpędzi senność.

I oto znowu ruszali w drogę. Ponieważ była lekka mżawka, podniesiono budę powozu. Bowers siedzący z tyłu miał także swój mały daszek.

Teraz, kiedy byli zamknięci, markiz zdawał się onieśmielać Valesę bardziej niż przedtem. To przerażające, myślała, być zamkniętą niemal jak w klatce z człowiekiem, który nic nie mówi. Ciągle czuła jego nienawiść i wstręt. Miała nadzieję, że może sprawi mu ulgę wiadomość o szlacheckim pochodzeniu jej ojca, sprzeczną ze słowami Sarah. Oczywiście, jeżeli kiedykolwiek dojdzie do rozmowy. Wydawało się jej nedorzeczne tak razem tyle godzin podróżować i

nie zamienić ze sobą ani słowa. Jednak kazał jej milczeć i była za bardzo przestraszona, by spróbować znowu przemówić. Jechali dalej i dalej, a dzięki doświadczeniu, które zdobyła podróżując ongiś z ojcem, orientowała się, że przed Londynem muszą ich jeszcze czekać dwie zmiany koni. Markiz był zbyt wyrobionym woźnicą, by forsować swoje konie, a utrzymywał sporą stałą prędkość. Podejrzewała, że próbuje pobić jakiś rekord. Jechali dalej i dalej. Kiedy dotarli do czwartej, i chyba ostatniej zmiany koni, Valessa na pół spała. Wysiąść z powozu i zrobić kilka kroków do gospody było dla niej istną męką. Posiłek już czekał. Znowu podano zupę, potem obfitą porcję łososia i trochę pieczonego jagnięcia. Zdołała zjeść zupę, kilka kęsów łososia i to wszystko. Na poprzednich postojach podawano szampana. Tu stała na tacy butelka bordo, a służąca, która ją przyniosła, wyjaśniła:

- Nie mamy szampana dla jego lordowskiej mości, jest tylko czerwone wino.
- Dziękuję - odpowiedziała Valessa. Normalnie nie piłaby nic, ale czuła, że traci siły. Bordo mogło jej pomóc wytrwać do końca podróży.

Była trochę zmarznięta, więc trzymała się jak najbliżej ognia. Ogrzała ręce, zanim wciągnęła rękawiczki, które zresztą były na tę okazję zbyt eleganckie i za ciasne. Muszę trzymać dłonie pod pledem, powiedziała sobie. Zejście kręconymi dębowymi schodami z sypialni do hallu i na dwór do czekającego powozu kosztowało ją wiele wysiłku. Znowu Bowers pomógł jej wsiąść. Kochała konie, nie omieszkała więc przyjrzeć się stojącej w zaprzęgu czwórce karych koni, z których każdy miał białą gwiazdkę na czole i białą jedną z przednich pęcín. Usiadła i naciągnęła pled aż pod brodę. Posiłek i wino ją rozgrzały, poczuła senność. Miała jednak wrażenie, że to nie jest zwyczajne zmęczenie. Wpadała w otchłań kompletnego wycieńczenia, którego tak się obawiała.

Muszę dojechać do Londynu w dobrej kondycji, pomyślała desperacko. Jednak czuła, jak całe ciało odmawia jej posłuszeństwa i jakby rozpada się na kawałki. Nie miałyby siły podnieść nawet ręki. Jeśli teraz zasnę, pomyślała, może... gdy się obudzę... będę w stanie porozmawiać z jego lordowską mością.

Czepek nie pozwalał jej swobodnie oprzeć głowy o budę powozu, więc rozwiązała wstążki i zdjęła go.

Rzucając spojrzenie w stronę markiza spostrzegła, że wygląda on jeszcze groźniej niż przedtem.

On mnie nienawidzi! Nienawidzi mnie! Zadrzała z przerażenia. Położyła czepek na siedzeniu obok siebie. Była taka chuda, a że odsunęła się od markiza najdalej jak mogła, zostało między nimi dużo miejsca. Potem podciągnęła pled jeszcze wyżej i zamknęła oczy, opierając głowę o poduszki siedzenia. Fala

zmęczenia obezwładniła ją. Miała wrażenie, że jej ciało nic nie waży. Pogrążyła się w morzu dziwnego niebytu, gdzie panowała ciemność i nie było nikogo, kto by ją mógł ocalić. Potem straciła przytomność.

Valessa przewróciła się na drugi bok i pomyślała, że jest z powrotem w domu, we własnym łóżku. Powinna zejść na dół i napompować trochę wody, którą można by zagotować na śniadanie.

Ogień! Ta myśl nagle trysnęła w jej głowie jak gejzer. Zapomniała o ogniu! A jeśli wygasło w kominku w sypialni? Nie będzie mogła napalić pod kuchnią.

Poruszyła się. Wreszcie przypomniała sobie: jedzie z markizem do Londynu. Ta podróż wydawała się trwać bardzo długo. Muszę z nim porozmawiać, kiedy dojedziemy, pomyślała. Ileż będzie ją to kosztowało wysiłku!

- Jestem zmęczona, tak bardzo zmęczona - szepnęła.

Otworzyła oczy. Chyba śni? Znajdowała się w jakimś niedużym pomieszczeniu. Wyczuwała jakiś ruch i nie mogła zrozumieć, skąd się to bierze. Musi mi się kręcić w głowie, pomyślała. Może to przez bordo, które piłam w ostatnim zajeździe. W końcu zdała sobie sprawę, że kołysanie, które czuje, nie jest kołysaniem powozu, a ona sama leży w łóżku.

Leżała więc w łóżku i choć się to wydawało absolutnie niewiarygodne, była na statku. Spróbowała usiąść, ale brakło jej siły. Leżała więc na wznak i patrzyła w sufit, który nie był zbyt wysoko. Kajuta miała dwa iluminatory. Wisiały w nich ładne, najwidoczniej kosztowne zasłony, które wprawiane w ruch kołysaniem się statku raz po raz wpuszczały do środka promienie słońca.

- Gdzie ja jestem? Co się dzieje? - zapytała głośno. Ogarnął ją paralizujący strach. Na pewno markiz próbuje się jej pozbyć i wysyła daleko za morze. Ale dokąd? Leżała drżąc i snując różne domysły. Teraz słyszała już łopotanie żagli i skrzypienie desek. Rozlegały się także kroki, jakby ktoś chodził po pokładzie ponad nią.

- Gdzie ja jestem? Co się dzieje? - zapytała ponownie przerażona.

Drzwi kabiny naprzeciwko łóżka otworzyły się bardzo powoli i cicho. Wstrzymała oddech. Zobaczyła przypatrującego się jej mężczyznę i poznała Bowersa.

- Czy dobrze się pani czuje, milady? - zapytał pogodnie.

- Gdzie ja jestem? - wymamrotała Valessa. Jej głos brzmiał nieswojo i cicho. Bowers wszedł do kajuty i zamknął za sobą drzwi.

- Myślałem, że nigdy się pani nie obudzi - powiedział - ale teraz, gdy już się to stało, myślę, że była pani trochę zaskoczona.

- Gdzie jestem? - powtórzyła.

- Jest pani na pokładzie Ulissesa, jachtu jego lordowskiej mości.

- Jachtu!

Z wrażenia usiadła na łóżku. Potem opuściła głowę i spostrzegła, że ma na sobie jedwabną halkę obszytą koronką, którą włożyła pod suknię podróżną. Jakby odgadując jej myśli, Bowers wyjaśnił:

- Pani straciła przytomność, milady, kiedy dojechaliśmy do Londynu, i nie mogliśmy pani dobudzić, więc jego lordowska mość wziął panią ze sobą tak jak pani stała, że tak się wyrażę.

- Wziął mnie... dokąd? - spytała Valessa, usiłując coś z tego zrozumieć.

- Ulisses był zakotwiczony na Tamizie, nie opodal gmachu parlamentu - wyjaśnił Bowers.

Valessa patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

- Więc zatrzymaliśmy się tylko, żeby zabrać trochę rzeczy na Berkeley Square, przyjechaliśmy prosto tutaj i wypłynęliśmy na pełne morze jeszcze przed zmrokiem.

Brzmiało to niemal jak powieść przygodowa. Valessa zapytała lękliwie:

- Dokąd... płyniemy?

- Będzie pani musiała spytać jego lordowskiej mości. Teraz jest na mostku i rozmawia z kapitanem, ale nie słyszę, o czym mówią.

Wyszczrzył radośnie zęby, a potem dodał:

- A teraz na pewno ma pani ochotę zjeść coś dobrego, a jeśli zechce pani posłuchać mojej rady, proszę zostać tutaj, aż wypłyniemy na spokojniejsze wody. I dodał już w drzwiach kabiny: - Jeśli jej lordowska mość chce się umyć, łazienka jest na lewej burcie.

Wyszedł i Valessa odprowadziła go zdumionym wzrokiem. Jak to możliwe?

- Spała albo była nieprzytomna cały czas, a jego lordowska mość zdążył dotrzeć do Londynu i załatwić tam swoje sprawy, a teraz wywozi ją w nieznane na swoim jachcie.

Pomyślała, iż markiz też uciekał od Sarah i od obrazu tych wszystkich strasznych śmiejących się szydlerczo ludzi, którzy stali przy łóżku w Towers. Ona także miała ich wyraźnie przed oczami: zaczerwienione twarze i otwarte drwiące usta. Nikt nie musiał jej mówić, jak upokarzające było to wszystko dla markiza. Pragnęła, by ziemia się rozstała i pochłonęła ją na zawsze. Dlaczego instynktownie nie wyczuła, że robi coś złego, i nie odmówiła zagrania roli w tej zabawie? Odpowiedź na to pytanie była aż za jasna: mogła albo zgodzić się na propozycję Harry'ego, albo skierować kroki w stronę rzeki. Tak czy inaczej niema sensu teraz zastanawiać się, co powinna była zrobić. Stało się i oto jest tu, na jachcie, z obcym mężczyzną, który jej nienawidzi.

Otworzyła małe drzwi na lewej burcie, o których mówił Bowers, i ku swemu zdumieniu znalazła tam rzeczywiście łazienkę. Valessa słyszała o łazienkach, ale pierwszy raz w życiu widziała jedną z nich na własne oczy. Jej matka i ojciec zawsze kąpali się w swoich sypialniach, podobnie jak ona. Ale kiedy została sama w domu, osłabienie nie pozwalało jej nosić wody po schodach. Umieszczała wannę jak najbliżej drzwi kuchennych prowadzących na podwórze. Pompowała wodę do małej konwi, która nie była dla niej za ciężka, wносиła do domu i przelewała do wanny. Oszczędnie gospodarowała wodą, cała operacja bowiem kosztowała wiele wysiłku.

Nigdy sobie nie wyobrażała, że na jachcie można mieć wannę przymocowaną na stałe do podłogi w specjalnej kajucie. Teraz właśnie coś takiego znajdowało się przed nią: wanna o dziwnym kształcie, bardzo głęboka i niezbyt długa. Zobaczyła też umywalkę, ale tego można było się spodziewać. Stojący w niej dzbanek miał przykrywkę, która zapobiegała wylewaniu się wody.

Valessa umyła twarz i ręce. Poczula się lepiej. Potem bardzo ostrożnie, bo statek się kołysał, wślizgnęła się z powrotem do łóżka. Było szerokie i wygodne, z pościelą z najlepszego płótna. Zauważyła, że pledy były nowe. Wszystko w pokoju wyglądało na nie używane. Ulisses był prawdopodobnie nowym nabytkiem.

Bowers wrócił z tacą w dłoniach. Poruszał się bardzo umiejętnie, balansując ze względu na przechyły jachtu. Postawił tacę na łóżku. Wszystkie naczynia miały pokrywki.

Spojrzał na Valessę i powiedział:

- Jej lordowska mość wygląda na zmarzniętą. Gdy rozpakowywałem rzeczy, chyba widziałem coś ciepłego.

Otworzył szufladę, która była wbudowana w ścianę, jak większość sprzętów w kajucie. Po krótkim szperaniu podał jej błękitną wieczorową etolę. Była obszyta strusimi piórami i wyglądała cudownie. Na pewno jest bardzo ciepła, pomyślała Valessa, otulając etolą ramiona.

- Dziękuję!

- Teraz proszę wszystko zjeść! - powiedział Bowers stanowczo. - A kiedy wrócę, odpowiem jej lordowskiej mości na wszelkie pytania.

Uśmiechnął się do niej i odszedł. Pomyślała, że Bowers jest jak dobrotliwa niania. Nie czuła się wcale skrepowana w jego obecności. Ponieważ trochę zgłodniała, postanowiła zbadać, co Bowers przyniósł. Posiłek był bardzo obfity i smaczny. Składał się z potraw śniadaniowych, więc nawet nie zapytawszy o godzinę, zorientowała się, że jest rano i musiała przespać całą noc.

Dwadzieścia minut później wrócił Bowers.

- Czuje się pani lepiej, milady? - zapytał.

- Tak, dużo lepiej, dziękuję. Przepraszam, że tyle ze mną kłopotu.

- To żaden kłopot - zapewnił ją. - A jedyne, co pani powinna zrobić, milady, to trochę utyć. Proszę mi wybaczyć te słowa - zachichotał - kiedy zdjąłem z pani suknię i kładłem panią do łóżka wczoraj wieczorem, wyglądała pani tak chudo! Myślałem, że pani zaraz zniknie.

Valessa roześmiała się.

- Jestem przekonana, że wkrótce utyję, jeśli będę jadła takie wspaniałe posiłki, jak te, które przyniosłeś!

- Za pół godziny pora lunchu.

- Czy myślisz - spytała Valessa z wahaniem - że jego lordowska mość oczekuje, abym się ubrała... i przyłączyła do niego?

Nie była pewna, jak sformułować pytanie, stąd wyraźna pauza przed ostatnimi słowami.

- Myślę, milady, że najlepiej będzie, jeśli zostanie pani tutaj - odpowiedział Bowers - przynajmniej dopóki nie poczuje się pani lepiej.

Wziął tacę i balansując jak akrobata na linie, poszedł do drzwi. Dodał jeszcze:

- Na pani miejscu na razie ustępowałbym z drogi jego lordowskiej mości i dałbym mu czas na przyzwyczajenie się, że tak powiem.

Wyszedł, zanim Valessa znalazła jakieś słowa odpowiedzi. Rozumiała w każdym razie, co Bowers chciał jej przekazać. Markiz był rozsierdzony i lepiej się z nim nie widzieć, dopóki sytuacja się nie zmieni. Pamiętała jego gniewną twarz w drodze do Londynu. Całe jej jestestwo kurczyło się na myśl o burzy, która przy spotkaniu rozpęta się nad jej głową. Bowers ma rację, powiedziała sobie. Nie czuję się wystarczająco dobrze, aby wstać.

Wtuliła się w poduszki. Gdy Bowers przyszedł z parującym lunchem, już spała.

Gdy później wspominała te wydarzenia, zdawało jej się niezwykle, że zdołała przez trzy dni siedzieć w swojej kajucie, nie widując nikogo oprócz Bowersa. To on budził ją i kazał spożywać posiłki, co posłusznie czyniła. Głównie dlatego, że nie chciała go rozczarować. A że w rzeczywistości była dużo słabsza, niż sądziła, potem znów zasypiała. Lubiła miarowe kołysanie statku. Przywodziło na myśl huśtawkę, którą zrobił dla niej ojciec, gdy była małą dziewczynką. Wisiała na gałęzi wielkiego drzewa w ogrodzie. Ojciec huśtał ją, aż czuła, że noskami trzewików prawie dotyka nieba. Wznosiła się i opadała tak szybko! Zdawało się jej, że fruwa.

Ulisses, zbudowany zgodnie ze specjalnymi potrzebami markiza, był duży i masywny. Potem Valessa miała się dowiedzieć, że na pokładzie znajdowało się wiele przyrządów nawigacyjnych i innowacji, nie spotykanych na zwykłych jachtach. Przetrwali szczęśliwie burzę w Zatoce Biskajskiej i pomyślny wiatr przepchnął ich przez jej wody z wyjątkowo dużą prędkością. Kiedy wreszcie morze się uspokoiło i zaczęło przygrzewać słońce, przyszedł Bowers z propozycją:

- Co by pani powiedziała na to, żeby dzisiaj wstać? Jest ciepło jak wiosną i nie mogę się doczekać, aby pokazać jej lordowskiej mości pozostałe kajuty.

- Chyba... jestem zbyt rozleniwiona, żeby wstawać - odparła Valessa.

Chciała przez to powiedzieć, że jest zbyt przerażona. Mijały dni bez spotkania z markizem, a ona coraz bardziej bała się chwili, kiedy to nastąpi. Obraz markiza zdawał się rosnąć w jej umyśle i górował nad nią jak wielki potwór albo olbrzym ludożerca z bajek czytanych w dzieciństwie. Taki potwór miał na ogół gigantyczne rozmiary, gdy tymczasem dziecko, z którym ona się identyfikowała, było maleńkim stworzeniem wielkości mniej więcej jego palca.

- Teraz proszę wstać, milady - mówił jednak Bowers. - Nie wolno pani zapomnieć, do czego służą nogi.

- Gdybym zapomniała, trzeba by mnie wozić po pokładzie w wózku inwalidzkim - zażartowała Valessa bez namysłu.

Nagle stanął jej przed oczyma markiz wieziony przez lorda Cyryla w fotelu na kółkach.

- Chciałbym zaproponować jej lordowskiej mości kąpiel - rzekł Bowers. - Będzie zimna, ale woda morska bardzo dobrze robi na cerę.

Nie czekał na odpowiedź. Najwyraźniej wydał już polecenie, aby przyniesiono do łazienki konwie wody. Valessa słyszała bowiem, jak rozmawiał ze stewardem. Napełnił dziwną wannę, a ona z radosnym podnieceniem zanurzyła się w zimnej wodzie, co jej nie przeszkadzało, bo w domu zawsze brała lodowate kąpiele. Wyszła ożywiona i przepełniła ją energia, czego dawno już nie doświadczyła. Bowers rozłożył na łóżku ubranie. Wybrał dla niej ładną wełnianą sukienkę, której dotąd nie zdążyła obejrzeć. Miała pelerynkę z tego samego materiału, ozdobioną długimi gęstymi frędzlami. Na pewno musiała dużo kosztować. Wkładając stroje lady Barton, czuła nie tyle pogardę, co zakłopotanie czy zażenowanie. Zastanawiała się, co powinna zrobić, jeśli markiz każe jej wyrzucić to wszystko za burtę. Ale zreflektowała się. Ponosi ją wybujała wyobraźnia, on z pewnością nie wystąpiłby z równie głupimi wymaganiami. Kiedy w końcu była gotowa, jej

oczy pociemniały i rozszerzyły się ze strachu. Zdawały się teraz wypełniać całą drobną twarz. Spojrzała na siebie w lustrze i stwierdziła, że jej cera straciła niezdrową ziemistą barwę, była teraz przezroczystobiała, a na policzkach zjawił się cień rumieńca. Wzięła głęboki oddech. Teraz, powiedziała sobie, muszę stanąć twarzą w twarz z ludożercą.

Wyszła z kajuty, wyciągając ręce, aby utrzymać równowagę w korytarzu, i wspięła się na pokład. Na szczycie schodów czekał Bowers, by otworzyć przed nią drzwi do salonu. To tam czekał potwór, który miał ją pożreć.



## Rozdział szósty

Markiz stał w głębi salonu, gdy Valessa weszła. Pomyślała, że jest jeszcze większy i groźniejszy, niż oczekiwała. Stała patrząc na niego i trzymając się kurczowo framugi drzwi. Zdawało jej się, że markiz rośnie i pęcznieje, aż w końcu zmieni się w prawdziwego olbrzyma ludożercę.

- Wejdz i usiądź - powiedział ostro.

Nie była w stanie dłużej na niego patrzeć, więc ze spuszczonym wzrokiem przeszła przez salon, by usiąść na krześle naprzeciwko niego. Markiz założył nogę na nogę i ulokował się wygodnie przy stole. Pomyślała, że wygląda jak sędzia, który właśnie ma wydać na nią wyrok za popełnione zbrodnie. W oczekiwaniu na grom serce biło Valessie jak oszalałe. Nie mogła opanować drżenia rąk.

- Zakończmy tę sprawę - powiedział markiz. - Ile chcesz?

Spojrzała na niego zaskoczona.

Tymczasem on najwyraźniej czekał na odpowiedź.

- Nie rozumiem? - wyjąkała.

- Oczywiście, że rozumiesz! - wycedził pogardliwie przez zęby. - To jest szantaż i nie pozostaje mi nic innego, jak zapłacić odpowiednią sumę.

Sposób, w jaki mówił, był nieznośnie obraźliwy. Valessa poczuła, że w jej piersi wzbiera duma, o którą sama siebie nie podejrzewała. Głosem nieco mocniejszym i już mniej niepewnym odpowiedziała:

- Jeżeli sądzi pan, że chcę od pana pieniędzy, to się pan bardzo myli.

- Owszem, żądasz pieniędzy - huknął chyba że wydaje ci się, iż pozostaniesz moją żoną. Na to ostatnie, oczywiście, nie mam zamiaru się zgodzić.

Valessa spuściła oczy i milczała. Po chwili markiz zapytał:

- Jak mogłaś zrobić coś tak przerażającego, tak obrzydliwego, żeby podstępem wplątać mnie w sakrament małżeństwa.

- Ja... nie wiedziałam... nie miałam pojęcia... - wyjąkała Valessa - że to ma być coś więcej niż zgadywanka, gra. Sir Harold mówił... że zorganizował to, aby... zabawić gości lady Barton.

- Myślisz, że w to uwierzę? - zapytał markiz. Teraz bezlitośnie szydził. - Spodziewałem się usłyszeć od ciebie wiele kłamstw, ale nie wyobrażasz sobie chyba, że w nie uwierzę. Niech mi będzie wolno powtórzyć moje pytanie. Ile chcesz?

- Tak jak mówiłam... nie chcę nic - powtórzyła Valessa. - Miałam zamiar prosić pana, żeby mnie pan zabrał do... mojego domu, ale pan nie słuchał.

- A gdzie jest ten twój dom? - zapytał markiz ironicznie. - W slumsach Lambeth czy na wysypiskach St. Giles?

Valessa oniemiała. Jej ojciec opowiadał kiedyś o straszliwych warunkach życia w tych miejscach. Były one wylęgarnią złodziejasków, rabusiów i morderców.

- Jeśli mnie pan posłucha - powiedziała po długiej chwili ciszy - spróbuję wyjaśnić...

- Nie chcę twoich wyjaśnień! - podniósł głos. — Chcę tylko i wyłącznie poznać to, co tak mistrzowsko zaplanowałaś z lady Barton, żeby mnie upokorzyć.

- Nie, nie, to nieprawda! - jęknęła Valessa, Markiz, jakby już zupełnie stracił panowanie nad sobą, zerwał się na równe nogi.

- Przestań kłamać, do wszystkich diabłów? - krzyknął. - Przejdźmy do meritum. Chcesz pieniędzy? Bardzo dobrze, zapłacę każdą sumę, byleby się ciebie pozbyć.

Nie mogąc znieść dłużej tych potwarzy i oskarżeń nienawiści w jego oczach, Valessa krzyknęła słabo. Brzmiało to jak pisk małego zwierzęcia schwytanego w pułapkę. Zerwała się z krzesła, jak oszalała przebiegła przez salon i wypadła na korytarz. Ujrzała drzwi prowadzące na pokład. Markiz przeraził ją tak, że przestała logicznie myśleć. Był tylko jeden sposób, aby przed nim uciec.

Płynęli teraz szybko, morze było w miarę spokojne, jacht nie kołysał się bardzo. Valessa podbiegła do barierki, chwyciła za górną poręcz, ale wąska spódnica utrudniała jej ruchy. Zaczęła wchodzić na kolejne poprzeczki. Usłyszała za sobą wołanie i pomyślała, że to markiz. Wychyliła się, aby skoczyć w fale głową w dół, ale akurat przerzucano bom i jacht przechylił się na przeciwną burzę. Siła przechyłu rzuciła Valessę do tyłu. Ktoś ją złapał i zaciągnął na pokład.

- Co ty wyprawiasz, mała idiotko?! - krzyknął markiz z wściekłością.

Jego uścisk sprawiał jej ból. Straciła panowanie nad sobą i wybuchnęła płaczem.

- Niech mi pan pozwoli umrzeć - szlochała. - Chcę umrzeć!

Markiz nie odpowiedział, tylko dźwignął ją do góry i zaniósł na rękach z powrotem do salonu. Płakała bezradnie, ledwie zdając sobie sprawę z tego, co się dzieje. Posadził ją na krzesło, z którego przed chwilą wstała.

Cały świat zdawał się pograżony w ciemnościach. Zanosiła się płaczem z twarzą ukrytą w dłoniach.

Markiz chwilę stał, patrząc na nią, a potem podszedł do barku w rogu salonu. Otworzył go. Stał tam rząd butelek, wszystkie umocowane na swoich

miejscach, żeby się nie przewracały nawet na bardzo wzburzonym morzu. Nalał trochę brandy, potem, zamknąwszy drzwiczki kredensu, podał jej szklanekę.

- Wypij to! - zakomenderował.

Valessa nie odpowiedziała, tylko potrząsnęła głową, wciąż z twarzą w dłoniach. Jacht kołysał się teraz trochę. Markiz usiadł koło niej.

- Skąd ci przyszło do głowy, żeby zrobić coś tak głupiego i próbować się utopić?

- Chcę umrzeć.

Milczał, więc po namyśle dodała:

- Wtedy uwolniłby się pan ode mnie.

Markiz spojrział na nią z niedowierzaniem. Potem spytał:

- Mnie masz na względzie?

- Skąd mogłam wiedzieć, że oni zaplanowali coś tak niegodziwego? - załkała Valessa.

Jej łzy zdawały się płynąć jeszcze obficie, gdy mówiła drżącym głosem:

- I tak miałam właśnie się zabić, kiedy przyjechali do mojego domu i przeszkadzili mi.

- Dlaczego miałaś zamiar się zabić?

Markiz mówił teraz cicho i spokojnie, ale Valessa nie mogła powstrzymać łez. Po chwili odezwał się znowu:

- Jeśli przestaniesz płakać, może będziesz mogła mi dokładnie opowiedzieć, co się stało.

- Lepiej niech mi pan pozwoli umrzeć - szepnęła.

- Gdybyś się utopiła, tak jak próbowałaś - oznajmił - ja z całą pewnością byłbym oskarżony o morderstwo!

Znieruchomiała. Wstrząsnęło ją to, co usłyszała, łzy same przestały płynąć. Odjęła ręce od oczu.

- Powiedział pan, że... byłby oskarżony o morderstwo? - spytała niepewnie.

- Jestem przekonany, że lady Barton i, oczywiście, Grantham przekonaliby swoich przyjaciół, a może nawet i sędziów, że się ciebie pozbyłem w dogodnych okolicznościach.

Valessa wpatrywała się w niego...

- Przepraszam - powiedziała łamiącym się głosem. Patrząc na nią - w gruncie rzeczy po raz pierwszy od początku całej historii - markiz pomyślał, że w życiu nie widział osoby, która by wyglądała tak patetycznie. Po policzkach Valessy spływały łzy. Wargi jej drżały. Miała mokre i posklejane rzęsy. Kiedy stała przy burcie, fala chlusnęła jej na włosy i przód sukni.

Ponieważ patrzyła na niego pytająco, wytłumaczył:

- Mam nadzieję, iż jesteś wystarczająco inteligentna, by zdać sobie sprawę, że w tych dwóch osobach, które przed chwilą wymieniłem, mam nieprzejednanych wrogów.

- Ale ja... nie miałam zamiaru wyrządzić panu krzywdy - wyjąkała Valessa. - Myślałam tylko, że... byłby pan rad, gdybym umarła.

- Jak już powiedziałem, zostałbym okrzyknięty mordercą na resztę życia, nawet gdyby nie doszło do procesu w sądzie.

- Nie przyszło mi to do głowy. - W jej głosie zabrzmiała bezradność.

Nagle uświadomiła sobie, że ma policzki mokre od łez i zaczęła szukać chusteczki. Markiz wyjął z kieszeni swoją białą lnianą chustkę i wręczył jej. Pachniała wodą kolońską i przywodziła na myśl ojca. Znowu zbierało się jej na płacz. Wytarła oczy i wysiakała swój mały nosek jak dziecko. Markiz wyciągnął do niej kieliszek brandy.

- Wypij chociaż parę łyków - powiedział - a poczujesz się lepiej.

Usłuchała, ponieważ ciągle bała mu się sprzeciwić. Potem on zabrał szklanekę, w której zostało jeszcze sporo brandy, i postawił ją na stole przykręconym do podłogi. Usiadł z powrotem i po chwili powiedział:

- Przypuśćmy, że puścimy w niepamięć wszystko, co mówiłem, i zaczniemy od początku.

- Ale... ja się boję!

- Mnie?

- Tak... wiedziałam, że będzie pan bardzo, bardzo rozgniewany i pożre mnie pan żywcem!

Powiedziała to bez namysłu i markiz zapytał:

- Więc wzięłaś mnie za ludożercę?

Valessa skinęła głową i znowu wytarła oczy. Brandy dobrze jej zrobiła. Wstydziła się, że wybuchnęła płaczem. Ojciec z pewnością nie pochwaliby takiego załamania przy obcym człowieku. Wiedziała też, że mężczyźni nie znoszą scen. Złożyła ręce i słabym głosem zapytała jak dziecko:

- Jeśli powiem panu dokładnie, co zaszło, uwierzy mi pan?

- Spróbuję - obiecał markiz. - Zresztą zgadnę, kiedy nie będziesz mówiła prawdy.

- Zawsze mówię prawdę - oznajmiła z garliwą godnością. - Papa i mama brzydzili się kłamać.

- Czy twoi rodzice żyją?

- Nie... oboje nie żyją.

Nikt nie mógłby mylnie odczytać bólu i rozpacz w jej głosie.

- Przykro mi - powiedział markiz. - Ale nie mieszkasz przecież sama?

- Nie mam... pieniędzy - odpowiedziała Valessa. - A kiedy papa się zabił, wierzyciele przyszli i zabrali wszystkie meble z domu.

Markiz wpatrywał się w nią, jakby trudno mu było uwierzyć w to, co mówiła.

- Przymierałam głodem i w końcu wiedziałam, że jedyne wyjście to utopić się w rzece.

Zapadła cisza. Valessa po chwili podniosła oczy i zobaczyła, że markiz przygląda się badawczo jej sukni. Na pewno powątpiewał w prawdziwość całej historii widząc, że jest tak dobrze ubrana. Musiał także zauważyć elegancki płaszcz, który miała na sobie w drodze do Londynu.

- Ta suknia - wyjaśniła - należała do lady Barton. Ona mi dała stroje na pobyt w Towers, a także trochę pieniędzy.

Mówiąc to obawiała się, że markiz jeszcze raz nazwie ją oszustką. Jednak zamiast tego rzekł cicho:

- Jeszcze mi nie powiedziałaś, jak doszło do twojego spotkania z lady Barton.

- Przyjechała do... naszego domu wtedy... kiedy właśnie miałam iść nad rzekę - wytłumaczyła. - To znaczy, gdybym dała radę tam dojść.

- Dlaczego przyjechała do twojego domu?

- Spadła z konia na polowaniu i zraniła się w ramię. Dżentelmeni, którzy ją przynieśli, prosili o... bandaż.

- Już rozumiem - markiz kiwnął głową. - A ty jej wcześniej nie znałaś?

- Nie, ale ponieważ mój dom znajduje się zaledwie około pięciu mil od Towers, oczywiście o niej słyszałam.

Miała nadzieję, że markiz uwierzy i przestanie podejrzewać, że urodziła się w poślednim miejscu jak ubogie dzielnice Lambeth albo St. Giles. Zdawał się myśleć nad tym, co właśnie usłyszał. W końcu rzekł:

- Zabandażowałaś lady Barton ramię. A co się wydarzyło potem?

- Teraz rozumiem - powiedziała Valessa przestraszona. - Powinnam była odgadnąć, co się święci. Przypadkiem usłyszałam, jak lady Barton opowiadała, że pan ją nazwał „niewystarczająco dobrą” narzeczoną dla siebie.

Markiz zacisnął usta. Potem zapytał tym samym ściszym głosem:

- Co jeszcze mówiła?

- Po tym, jak lord Cyryl pana naśladował... - Wydała cichy okrzyk. - Oczywiście! Byłam taka głupia, że się wcześniej nie zorientowałam! To on mówił za pana w kaplicy. Mówił identycznie jak pan!

- Przypuszczałem, że tak się musiało stać - odparł markiz sucho. - Pamiętam, z jakim mistrzostwem naśladował każdego, kiedy razem byliśmy w szkole.

- Jakże byłam niemądra! Teraz to widzę - powiedziała Valessa. - Ale czułam się taka chora i wyczerpana, umysł zdawał się odmawiać mi posłuszeństwa.

- Sądzę, że to zrozumiałe - przyznał markiz.

Pomyślała, że mówi to bez przekonania.

- Już myślałam, że wyjeżdżają - pospiesznie podjęła swoją opowieść. - A tu sir Harold wszedł do kuchni i oznajmił, że lady Barton zapłaci mi dwieście funtów, jeśli wezmę udział w grze, którą przygotowują dla gości.

Popatrzyła na markiza błagalnie.

- Przysięgam na wszystkie świętości, że aż do ostatniej chwili nie wiedziałam, co mieli zamiar zrobić.

Zdawało jej się, że markiz ma srogi wyraz twarzy, powiedziała więc, łkając:

- Teraz rozumiem, dlaczego nie mogli wprowadzić planu w życie od razu pierwszego wieczora. Czekali na specjalną dyspensę!

Ostatnie słowa wyrzuciła z siebie trochę bezładnie i bardzo cicho. Sądziła, że markiz mógł ich nie dosłyszeć. Pamiętała aż zbyt wyraźnie tę potworną chwilę, gdy obudziła się w łóżku u boku markiza. Zadrżała za zgrozą na wspomnienie lady Barton i jej przyjaciół, którzy sztychli z nich obojga. Wciąż widziała twarz Sarah wykrzywioną pogardliwym grymasem i słyszała, jak zanosi się śmiechem, trzymając w górze świadectwo ślubu.

Nie zostało już nic do powiedzenia. Wiedziała, że popełniła rzecz niewybaczalną i znów ukryła twarz w dłoniach.

- Jeżeli nie mogę... umrzeć - zapytała - to co mam zrobić, żeby przyczynić się do poprawy pańskiej sytuacji?

Markiz nie odpowiedział.

- Może... gdybym zamieszkała gdzieś... za granicą, mogłabym znaleźć pracę... a za rok czy dwa... mógłby pan rozgłosić, że umarłam.

Po tych słowach na jakiś czas zapadła cisza. Wreszcie markiz zapytał:

- A sądzisz, że jaką pracę mogłabyś wykonywać? Valessa westchnęła.

- Już o tym myślałam. Planowałam, że wyjadę do Londynu za pieniądze od lady Barton i pójdę do jednej z tych agencji pracy dla służby. - Podobnie jak przedtem zastanowiła się teraz nad tą sprawą. - Ponieważ wyglądam za młodo na guwernantkę, myślałam, że może... mogłabym zostać damą do towarzystwa u jakiejś starszej arystokratki i czytać jej albo robić to, co zwykle należy do obowiązków dam do towarzystwa.

Nie zdawała sobie sprawy, że markiz ją obserwuje. W jego oczach pojawił się wyraz zaciekawienia, jakby wciąż myślał, że Valessa gra. Jednocześnie był prawie przekonany o jej bezwzględnej szczerości.

- Jestem pewna... że ktoś by mnie przyjął - ciągnęła dzielnie Valessa. — A poza tym dwieście funtów wystarczyłoby na długo we Włoszech albo może w Grecji.

- A jeśli nie? - spytał. - Co byś wtedy zrobiła? Valessa trochę bezradnie rozłożyła ręce i rzekła:

- Tym by pan nie musiał się martwić... Jestem pewna, że... dałabym sobie radę przez rok. Potem mógłby pan powiedzieć, że zmarłam na jakąś tropikalną gorączkę.

- A tak naprawdę mogłabyś po prostu umrzeć z głodu. Byłaś na najlepszej drodze do tego, gdy odwiedziła cię lady Barton.

Dostrzegł wyraz przerażenia na twarzy Valessy.

- Poradzę sobie... jestem pewna, że sobie jakoś poradzę - upierała się.

- Sama?

- Będzie mi trudno, bo zawsze byłam z papą, ale mam już prawie dziewiętnaście lat i powinnam umieć sama się o siebie zatroszczyć.

Markiz wstał. Jacht płynął teraz spokojnie, bez przeszkód więc podszedł do iluminatora i patrzył na morze. Valessa wiedziała, że rozmyśla, a gdy tak stał, nie mogła otrząsnąć się od wspomnienia tego pięknego mężczyzny na Sal ad y nic i podniecenia, jakim napełniło ją jego zwycięstwo w wyścigu.

Chcę, żeby mi uwierzył, powiedziała sobie.

Markiz podszedł i znów usiadł na krześle.

- Przemyślałem to, co mi powiedziałaś - rzekł - i wierzę ci.

Valessie zabłyśły oczy.

- Wierzy pan? Naprawdę pan wierzy?! - zawołała. - Przysięgam, że powiedziałam panu całą prawdę!

- Myślę, że zorientowałbym się, gdybyś kłamała - rzekł markiz. - Dlatego też proponuję, abyśmy zapomnieli o lady Barton i nigdy więcej o niej nie wspominali.

Valessa odetchnęła głęboko. Zanim zdążyła coś powiedzieć, otworzyły się drzwi salonu i wkroczył steward.

- Szef kuchni donosi, że lunch będzie gotowy za pięć minut. Zastanawiałem się, czy mam już nakrywać do stołu - rzekł.

- Tak, oczywiście. - Markiz zwrócił się do Valessy: - Nie miałem pojęcia, że jest tak późno. Chciałabyś się chyba ogarnąć. Mam nadzieję, że zjesz ze mną.

Valessa pierwszy raz pomyślała o swoim wyglądzie. Dotknęła rękami włosów. Były mokre od wody morskiej. Powinna też umyć oczy. Pospieszyła do swojej kajuty, gdzie Bowers właśnie sprzątał.

- Dobrze się pani czuje, milady? - spytał.

- Tak, dobrze... dziękuję - odpowiedziała.

Umyła twarz w łazience, a nie chcąc kazać markizowi na siebie czekać, pospiesznie uporządkowała włosy i poszła z powrotem do salonu.

Steward już nakrył do stołu, który stał nieco z boku, pod ścianą. Markiz pił szampana, ale kiedy zaproponował go Valessie, potrząsnęła odmownie głową.

- Myślę, że najprzód powinnam coś zjeść. Markiz uniósł brwi, więc wytłumaczyła:

- Piłam w drodze do Londynu, żeby odpędzić senność, ale jestem pewna, że w innych okolicznościach nie powinnam tego robić.

- Pojmuję - powiedział markiz - i myślę, że jesteś bardzo rozsądna.

Odstawił kieliszek, który trzymał w dłoni, i dodał:

- Tak się składa, że sam rzadko piję w ciągu dnia. Chcę być w dobrej formie, gdy dosiadam konia. Ale po dramatycznych zajściach dzisiejszego poranka, czułem, że trzeba mi pokrzepienia.

Uśmiechnął się do Valessy, co złagodziło uszczypliwość tych słów. Odpowiedziała mu nieśmiałym uśmiechem, a potem usiadła przy stole naprzeciwko niego. Steward wniósł potrawy, które były, jak się przekonała, nadzwyczaj wykwintne, a markiz zaczął bawić ją rozmową. Valessa spodziewała się, że mowa będzie o koniach, a w szczególności o Saladynie, i miała rację. Powiedział jej, gdzie kupił swego pupilka jeszcze jako roczniaka, i jak frapowało go obserwowanie, jak się rozwija i robi postępy w skokach.

- Modliłam się, żeby wygrał steeple-chase - powiedziała Valessa wprost.

- Tak, i ja bardzo tego pragnąłem.

- Wciąż żałowałam, że nie ma ze mną papy i że nie mógł pana oglądać. Byłby równie zafascynowany jak ja.

- Twój ojciec pasjonował się końmi?

- Był bardzo dobrym jeźdźcem, a po śmierci mamy kupował tanio konie i szkolił je, aż były warte sporo pieniędzy.

Markiz pomyślał, że wielu ludzi już tego próbowało zazwyczaj bez powodzenia. W czasie rozmowy przyglądał się Valessie. Coraz mniej wierzył, że ta osoba mogła być wplątana w nikczemny spisek Sarah i Harry'ego. Powątpiewał jednak w prawdziwość historii o tym, jak pozostała bez grosza. Jeszcze trudniej było mu dać wiarę, że w rezultacie znalazła się o krok od samobójczej śmierci. Jedno było w każdym razie oczywiste. Valessa nie



pochoziła z rysztoła, jak twierdziła Sarah, i obcując z nią trudno było wąpić, iż ma się do czynienia z prawdziwą damą. Przysłuchiwał się, jak mówiła, i zdał sobie sprawę, że ta dziewczyna jest wykształcona. Nie miała nawet cienia akcentu. Zauważył także sposób, w jaki jadła. Nie zrobiła nic, co raziłoby w najbardziej dystyngowanych kręgach towarzyskich. Rozum podpowiadał markizowi, że gdzieś tu musi tkwić jakiś haczyk. Jednak instykt skłaniał do przyjęcia bez zastrzeżeń jej historii.

W trakcie rozmowy Valessa zdawała się wyzbywać całego onieśmienia. W jej oczach nie widział już tego przerażenia, z jakim niedawno na niego patrzyła. Markiz potrafił być czarujący, jeśli się postarał, i pod koniec lunchu Valessa rozmawiała z nim tak swobodnie, jakby znajdowała się w towarzystwie ojca. A ją, od śmierci matki całkowicie pozbawioną kontaktów towarzyskich, fascynowało sam na sam z bardzo przystojnym mężczyzną, pomimo że budził w niej lęk. Rozmawiał z nią jak z równą sobie, co sprawiało jej dużą przyjemność.

Markiz odkrył, że Valessa posiada wiedzę, jakiej by się nigdy po niej nie spodziewał. Kiedy opowiadał o swym pobycie we Włoszech, ona mówiła o historii Neapolu. Zadumała się nad tym, jak Grecy i Rzymianie zostawili po sobie ruiny świątyń i willi. Markiz wspominał, że był w Pompei, a ona szepnęła, wzdrygając się:

- Często myślałam o przerażeniu i panice, jakich musieli doświadczyć ci ludzie, gdy nagle powietrze wokół nich stało się gęste od wulkanicznego pyłu i zaczęli się dusić.

Kiedy lunch dobiegł końca, markiz pomyślał, że Valessa wygląda na zmęczoną, i wysłał ją do kajuty, aby odpoczęła.

- Jutro wypłyniemy na spokojniejsze wody - zapowiedział. - Jestem pewien, że zechcesz wyjść na pokład.

- Z przyjemnością - przyznała. - Bowers mi mówił o wielu nowoczesnych przyrządach, które pan zainstalował na jachcie. Bardzo bym chciała je obejrzeć.

Kiedy zeszła pod pokład, markiz przez jakiś czas siedział samotnie w salonie i zastanawiał się, co począć. Jego myśli jednakże różniły się całkowicie od tych, które niedawno pogrążyły jego świadomość w mroku i wprawiały we wściekłość przez całą drogę do Londynu oraz w ciągu pierwszych dni rejsu.

Oto zamiast pospolitej ładacznicy, która zamierza wyłudzić od niego duże pieniądze albo, co gorsza, pozować na markizę Wyndonbury, stanął twarzą w twarz z młodą dziewczyną. Gdy się jej przyglądał i przysłuchiwał, nie mógł nie wierzyć, iż nie jest ona taka, na jaką wygląda. A wyglądała na osobę bardzo niewinną i raczej oszukaną niż oszustkę. Wobec tak całkowitej zmiany opinii

czuł się zdezorientowany i nie był pewien, co z tym fantem zrobić. Wyjeżdżając za granicę, aby uniknąć kpin swoich przyjaciół, planował jakoś się wykręcić z tej sytuacji. Powiedział sobie, że przydzielili tej kobiecie ogromną pensję i postawi warunek: ma pozostać poza granicami Anglii. Wciąż byliby, niestety, małżeństwem, ale przynajmniej nie musiałby jej oglądać, a jej nieodpowiednie zachowanie nie upokarzałoby go. Pozostawała jeszcze druga możliwość, to jest próba zakwestionowania prawnej strony małżeństwa. Przecież, jeszcze zanim Valessa się tego domyśliła, odgadł, że to Cyryl Fane udzielił mu głosu w kaplicy. To on wypowiadał przysięgę i duchowny uwierzył, że płynęła z ust markiza. Jednakże lord Wyndonbury wiedział też doskonale, jakiego rodzaju publiczność przyciągnąłby taki proces. On sam zostałby wyśmiany i opisany w niezliczonych paszkwilach jako człowiek, który w stanie odurzenia narkotycznego dał sobą manipulować osobom mieniącym się jego przyjaciółmi. Sama myśl o tym przyprawiała markiza o dreszcz obrzydzenia.

Tak czy inaczej, cokolwiek by zrobił, cała sprawa okryłaby hańbą nie tylko jego, ale i całą rodzinę. Kiedy to wszystko rozważał, przebiegłość podsunęła mu myśl, że może za sprawą jakiegoś cudu mógłby uniknąć najgorszego. Valessa była bardzo młoda. Na pewno potrafiłby ją nauczyć, jak się przyzwoicie zachowywać. Jeśli dysponowała choć odrobiną inteligencji, mogłaby z powodzeniem zagrać rolę damy i zostać ogólnie zaakceptowana. Im dłużej myślał o swojej sytuacji, tym wyraźniej to ostatnie rozwiązanie jawiło się jako jedyne możliwe. Jednakże nie przyszło mu to do głowy aż do dzisiejszego ranka, kiedy to poznał Valesę. Na pewno nie było w niej nic pospolitego. Gdy płakała, zdawała się dzieckiem, które niczym nie zawiniło, a wpadło w kłopoty. Przyłapał się na tym, że jest mu jej żal. Jak mogła się znaleźć o krok od samobójstwa z powodu braku pieniędzy i żywności? Jak to możliwe, iż była gotowa raczej umrzeć niż znosić jego gniew i że pragnęła go od siebie uwolnić?

Markiz przywykł do przestawiania z różnymi ludźmi w rozmaitych okolicznościach. Uchodził za wyjątkowo dobrego oficera ze względu na to, że otaczał opieką i rozumiał swoich podkomendnych.

Teraz był już prawie pewien, że Valessa go nie oszukuje. Zauważył także, jak ślicznie wyglądała, kiedy opłukała oczy i wróciła do salonu.

Jednak przez cały czas miał wrażenie, że jest miotana na wszystkie strony przez jakieś moce, nad którymi nie panuje. Markiz dołożył wszelkich starań, aby ją ośmielić. Pomyślał, że jego trud nie poszedł na marne. Przecież wychodząc, powiedziała z nieśmiałym uśmiechem:

- Dziękuję... Dziękuję bardzo, że pan był dla mnie taki miły.

Oto, co muszę zrobić, zdecydował w końcu markiz. Trzeba mi zdobyć jej zaufanie i ukształtować ją tak, żebym przynajmniej mógł się z nią publicznie pokazać. Znowu poczuł, jak wzbiera w nim wściekłość. Wiedział przecież, że wprawdzie on przebywa poza granicami Anglii, ale krewni bez wątpienia dowiedzą się o całym zdarzeniu. Będą oburzeni. Znienawidzą Valessę za to, co sobie o niej wyobrażą. Markiz zdawał sobie sprawę, że bez względu na to, jak postąpi, przyszłość jest niepewna.

W końcu dokonał wyboru. Uczyni z Valessy przynajmniej bardzo dobrą imitację osoby, jaką według jego wyobrażenia powinna być markiza Wyndonbury. Na razie nie będzie mówił już o tym, co się wydarzyło. Spróbuje w miarę możliwości zapomnieć o Sarah Barton i o jej szatańskiej zemście. Trudniej będzie wymazać z pamięci Harolda Grantharna. Harry miał co prawda pewne powody, aby czuć do niego niechęć, a mianowicie Yvonne. Ale splamił się postępkami niegodnym dżentelmena. On sam nigdy by się nie zniżył do próby upokorzenia mężczyzny, z którym chodził do jednej szkoły. Należeli przecież do tych samych klubów.

Po chwili markiz doszedł do rozsądnego wniosku, że pielęgnowanie uczucia nienawiści nie odwróci już biegu wypadków. Zakłóciłoby natomiast stosunki z Valessą. Ze zdumieniem zauważył u niej pewien rodzaj instynktu czy też przenikliwości. Zorientował się, że byłoby mu ją trudno oszukać. On sam także natychmiast by odgadł, kiedy ona kłamie.

Wyglądała niesłychanie pociągająco w różowej sukni, która musiała kosztować zawrotną sumę i w gruncie rzeczy była zbyt elegancka, żeby ją nosić na jachcie. Ale markiz, mając doświadczenie z kobietami, rozumiał, iż Valessa ubrała się tak, aby dodać sobie pewności siebie.

Zanim wyszła z kajuty, Bowers powiedział:

- No, wygląda pani jak bukiet kwiatów, milady, święta prawda.

- Dziękuję - uśmiechnęła się Valessa. - Mam tylko nadzieję, że... jego lordowska mość też tak pomyśli.

- Dziś wieczorem ma inny humor - uspokoił ją Bowers. - Nie wiem, co mu pani powiedziała, ale jest prawie taki jak dawniej.

Valessie serce podskoczyło w piersi. Jeśli markiz jej wybaczył, nie ma się czego bać.

Weszła do salonu. Zachowywał się czarująco. Usiedli do kolacji i znowu zaczął rozprawiać o rzeczach, które ją bardzo ciekawiły.

Powiedziała mu trochę lęklawie, jak uwielbia mity o bogach olimpijskich, i okazało się, że markiz zna je tak dobrze jak jej matka. Rozmawiali o Egipcie,

dokąd kiedyś podróżował. Valessa czytała dużo o piramidach i o świątyni w Luksorze. Zauważył, że jej oczy nabierają blasku, kiedy dyskutowali o rzeczach wzbudzających zazwyczaj nikłe zainteresowanie kobiet, z którymi dotychczas jadał. Wszystkie przedstawicielki płci pięknej koncentrowały się na kokietowaniu go i przyjmowaniu komplementów, które, ich zdaniem, z natury rzeczy im się należały. Natomiast rozmowa z Valessą miała całkowicie neutralny charakter. Gdy kolacja dobiegła końca, był pewien, że jego towarzyszka nie poświęciła ani jednej myśli sobie ani swemu wyglądowi.

Dwa dni później żeglowali już po Morzu Śródziemnym. Markiz nie mógł się powstrzymać od myśli, że jeśli już musi pływać z kobietą na pokładzie, trudno byłoby znaleźć odpowiedniejszą towarzyszkę niż Valessa. Nie miała żadnych wymagań. Nie oczekiwała, aby prawił jej komplementy, ale chętnie go słuchała. Okazała duże zainteresowanie, gdy pokazywał jej części jachtu, na które inna kobieta nie chciałaby nawet spojrzeć. Był zaskoczony, że tak dużo czytała o krajach leżących w najdalszych zakątkach basenu Morza Śródziemnego. Jej ojciec musiał wiele podróżować i oczywiście powtarzała wszystko, czego ją nauczył. Jednocześnie umiała samodzielnie myśleć. Jej inteligentne pytania mogły równie dobrze wychodzić z ust męskich przyjaciół markiza. Czasem się spierali. Markiz widział, że Valessa rozmawia z nim w taki sam sposób, jak niegdyś rozmawiała z ojcem. Mijał dzień za dniem, a on powtarzał sobie z drwiącym uśmiechem, że po raz pierwszy w życiu spędza czas z młodą atrakcyjną kobietą, która nie pożąda go jako mężczyzny.

Valessa go otwarcie podziwiała. Kiedy wspomniała, jak dosiadał konia, w jej głosie brzmiała niemal nuta zachwyty, przypisywała mu chyba cechy boskie. Jednak, myślał z rozbawieniem, że te laury przyszło mu dzielić z Saladynem. W świadomości Valessy niewątpliwie istniał nierozzerwalny związek między tym ogierem i jego jeźdźcem.

Nigdy w życiu mu się nie zdarzyło, aby jego umysł był bardziej niż serce zaangażowany w znajomość z przedstawicielką płci pięknej. Valessa obserwowała jego reakcję po każdym swoim prowokującym albo niezwykłym stwierdzeniu. Czekwała niecierpliwie na odpowiedź, ponieważ w ten sposób znajdowała pożywkę dla swojego umysłu. Markiz czuł, że można by określić ich wzajemne stosunki jako przyjacielskie, ale serce Valessy ani przez sekundę nie zabiło mocniej w jego obecności. Ani jej wargi nie prosiły o pocałunek.

Znał chyba każdy gest, który zrobiłaby kobieta nim zajęta: sposób, w jaki jej ręce wyciągały się, aby go dotknąć, świadome ruchy ciała, same w sobie będące zaproszeniem.

A Valessa mogłaby równie dobrze rozmawiać z osiemdziesięcioletnim profesorem albo właśnie z ojcem, o którym tak często wspominała.

Markiz zaczął podejrzewać, że oto poznał jedyną kobietę na świecie obojętną na jego urok. Ta myśl miała dość otrzeźwiający efekt. Niemal pragnął znaleźć się w towarzystwie londyńskich ślicznotek, które bez wątpienia usychały z tęsknoty. Tam odzyskałby wiarę we własne siły. Ale przypominał sobie, że już jutro Yalessa w pogodnym nastroju przyjdzie do salonu na śniadanie. Jej oczy będą błyszczeć z podniecenia: może idąc przez pokład zobaczyła morświna albo mający na horyzoncie zarys Pirenejów. Jej obecność napełniła wszystko słonecznym blaskiem.

Z całą pewnością jest niezwykła! - powiedział do siebie markiz. Z nie wyjaśnionych powodów zapragnął, żeby noc minęła szybko. Chciał znowu być razem z Yalessa.

## Rozdział siódmy

Jutro - rzekł do Valessy - przybijemy do brzegu w Marsylii. - Nie powiedział nic więcej. Steward właśnie serwował jedną z doskonałych potraw, którymi delectowali się co wieczór. Valessa poczuła, że nie może złapać tchu. Przez ostatni tydzień, gdy żeglowali wzdłuż wybrzeża Hiszpanii i przez Morze Śródziemne, była taka szczęśliwa! Mieli nadspodziewanie ciepłą pogodę jak na listopad, a blask słoneczny roztaczał dookoła złocistą poświatę. Morze było spokojne, barwy głębokiego błękitu - jak suknia Madonny. To wszystko rzucało czar na Valessę. Rozmowy z markizem także okazały się niespodziewanie interesujące. Podobnie jak samo słuchanie go. Umiał jej wyjaśnić wszystko, co chciała wiedzieć. Zupełnie, jakby miała tylko dla siebie całą encyklopedię. Okazywał jej też tyle zrozumienia! Prawie zapomniała, dlaczego znalazła się z nim na jachcie.

Dotrzymał słowa. Nie rozmawiali już więcej o lady Barton. Nigdy nie wspominał wydarzeń w Ridgeley Towers ani osób, które tam były. Valessa bała się rozpaczliwie, że jakakolwiek o tym wzmianka znów rozbudzi jego gniew. Dlatego próbowała wymazać tamte zajścia z pamięci. W nocy zapytywała samą siebie, jak długo jej się uda żyć w takim szczęściu. Było oczywiste, że markiz nie może do końca swych dni żeglować dookoła świata. Miał w Anglii obowiązki i na pewno tęsknił za końmi. Gdzieś na dnie jej duszy zawsze tkwiła ciemna, przerażająca myśl, że markiz może ją zostawić w jakimś obcym kraju, zgodnie z tym, co sama proponowała. Może da jej trochę pieniędzy na później, gdy skończy się dwieście funtów, leżące w szufladzie toaletki. Ale to nie pieniędzy pragnęła, tylko poczucia bezpieczeństwa, które ją ogarniało w towarzystwie markiza. Valessę przerażała myśl, że znajdzie się sama w kraju, gdzie nikogo nie zna. Gdy podróżowała przed laty z mamą i ojcem, rzecz miała się inaczej. Od tamtego czasu żyła w spokoju i ciszy swego domu, a po śmierci ojca nie widywała nikogo. Dlatego właśnie wszystkim, co się stało, była kompletnie zaskoczona. Tak zaskoczona, iż nie rozumiała następstw zmiany teatralnego ślubu w prawdziwy. Jestem żoną markiza, powiedziała sobie, ale on mnie nigdy nie zaakceptuje. Na myśl o rozstaniu z nim czuła dziwne ukłucie w sercu. Wstawała wcześniej rano i spieszyła, aby zdążyć się przygotować i zjeść z markizem śniadanie. Potem wychodzili na pokład, a on tłumaczył, gdzie są, demonstrował nowoczesne przyrządy, w które wyposażył Ulissesa. Dała się zwieść złudzeniu, że poczucie bezpieczeństwa i szczęście będą trwałe wiecznie. Ale jutro wszystko się skończy.

Gdzie ja się podzieję? Gdzie ja się podzieję? To pytanie tłukło się w jej głowie bezustannie. Ogarnięta paniką zrozumiała, że musi smakować każdą chwilę ostatnich godzin z markizem. Gdy odejdzie, zostaną jej tylko te wspomnienia. Stała na pokładzie, patrząc na wybrzeże Francji. Pragnęła rozkazać jachtowi, aby płynął wolniej i żeby całe miesiące minęły, zanim przybiją do Marsylii. Podróż trwała już i tak dłużej, niż to było konieczne. Na Morzu Śródziemnym markiz polecał kapitanowi codziennie opuszczać kotwicę. Zbliżali się do brzegu, znajdowali małą zatoczkę albo port rybacki i tam czekali na rano. Zazwyczaj było już wtedy zbyt późno, aby Valessa mogła zejść na ląd. Markiz samotnie opuszczał jacht i spacerował godzinę albo i więcej, żeby zażyć ruchu. Valessa nie mogła zasnąć, dopóki nie usłyszała, jak wraca. Nasłuchiwała jego kroków w korytarzu i odgłosu otwieranych drzwi kajuty. Potem było słycać rozmowę markiza z Bowersem. Dopiero gdy lokaj odchodził i zapadała cisza, Valessa zasypiała, czując się bezpieczna blisko markiza.

Ale w przyszłości zostanie sama. Jej całe jestestwo krzychało z bólu na samą myśl o tym. W oczach Valessy znowu zagościł strach, lecz markiz tego nie zauważył.

Oboje zeszli pod pokład, żeby się przebrać do kolacji. Valessa bardzo się spieszyła, aby nie uronić ani chwili z markizem, a zazwyczaj on przychodził pierwszy. Tego wieczora włożyła pierwszą z brzegu suknię i dopiero spojrzawszy w lustro zobaczyła, że jest to śliczna suknia z niebieskiego jedwabiu. Bufiaste rękawy wyglądają jak fale, pomyślała. Jak na gust lady Sarah suknia była bardzo prosta, a Valessa wyglądała w niej idealnie. Skóra dziewczyny była olśniewająco biała, błękit jedwabiu odbijał błękit jej oczu. Ponieważ czuła się ostatnio szczęśliwa i jedzenie na jachcie było doskonałe, przytyła trochę, a jej twarz się zaokrągliła. Już nie wyglądała na przygnębioną ani na skrajnie wyczerpaną.

Nie wiedziała jednak, że Bowers swego czasu rzekł do markiza:

- Gdyby mnie pan pytał o zdanie, milordzie, jej lordowska mość jest na skraju załamania nerwowego i jeśli nie poweźmiemy środków ostrożności, gotowa nam się rozchorować na zapalenie mózgu!

Ta uwaga zdopingowała markiza i dołożył wszelkich starań, żeby nie wyprowadzać Valessy z równowagi. Pamiętał jej rozpacz, gdy próbowała rzucić się w morze. Czasem prześladował go lęk, który widniał w oczach Valessy wchodzącej po raz pierwszy do salonu. Obwiniął się za wypadki tamtego ranka. Valessa bardzo różniła się od hurysy-szantażystki, którą spodziewał się zobaczyć.

Kolacja dobiegła końca i steward uprzątnął stół. Zakotwiczone jacht wyjątkowo wcześniej w zatoce, gdzie nad piaszczystą plażą wznosiły się ostre klify. Valessa nasłuchiwała, jak opuszczają kotwicę, gdy dobiegł ją głos markiza.

- Chciałabyś wyjść na pokład? Jest dziś dużo cieplej i klify osłonią nas od wiatru.

- Byłabym zachwycona! - wykrzyknęła.

Sięgnęła po aksamitną etolę, która stanowiła uzupełnienie błękitnej kreacji. Była obszyta prawdziwymi sobolami. To niesłychane, że Sarah Barton oddała coś tak kosztownego, ale pewnie nie miało to dla niej znaczenia, skoro jest taka bogata, pomyślała Valessa. Zrzuciła etolę na ramiona i popatrzyła na markiza z wyczekiwaniem. Wyszli na pokład.

Na usianym gwiazdami niebie wisiał księżyc w pełni, odbijając się na gładkiej powierzchni spokojnego morza. Było tak pięknie, że Valessa mogła tylko milczeć i patrzeć. Pełna zachwytu, czuła się jak w kraju baśni, który widziała tylko w swoich snach. Stojąc tak z zadartą głową i patrząc na księżyc, przypomniła sobie rozmowę z mężczyzną siedzącym obok niej przy stole pierwszego wieczora w Ridgeley Towers. Niestety nie zapamiętała jego imienia.

- Oto moja rada, panno Chester, nie należy zakochiwać się w Staffordzie Wyndonburym!

Valessie wydało się dziwne, że tak mówi.

- Nie mam zamiaru się w nim zakochać - odpowiedziała. - Oczywiście ma pan rację. Dla każdego byłoby tragedią zakochać się w tym Człowieku z Księżyca.

Takiego określenia używała w swoich myślach dla ludzi niedoścignionych i odległych. Teraz, gdy powróciło wspomnienie tamtej rozmowy, Valessa pomyślała, że w istocie miano Człowiek z Księżyca pasuje do markiza. Był bardzo dobry i wyrozumiały, ale zawsze stał jakby z dala od zwyczajnego świata. To mężczyzna niedościgniony i pozbawiony ludzkich ułomności. Odrzuciła głowę do tyłu, aby znów popatrzeć na księżyc. Nie zdawała sobie sprawy, że markiz przygląda się drugiej linii jej szyi i doskonałej harmonii rysów, myśląc o tym, jaka jest piękna. W dzień jej włosy, które miały niemal magnetyczną sprężystość, zdawały się kumulować w sobie słoneczny blask. Teraz były srebrne i jeszcze ładniejsze. Markiz bezwiednie przysunął się do niej, opierając się o burtę. Valessa położyła na barierce obie dłonie, wciąż patrząc w górę.

- O czym myślisz? - zagadnął markiz.



- O Człowieku z Księżyca! - odparła.

- Po cóż miałabyś do niego wzdychać, kiedy masz u swego boku innego mężczyznę? - spytał.

Mówiąc to, otoczył ją ramionami i zanim zdążyła pojąć, co się święci, jego wargi objęły jej usta. Na jedną chwilę znieruchomiła zaskoczona. Oto bajka stała się rzeczywistością. Całował ją Człowiek z Księżyca i było to jeszcze cudowniejsze niż w marzeniach. Markiz początkowo z wielką delikatnością, żeby jej nie przestraszyć, smakował miękkość i niewinność dziewczęcych warg. Lecz całe ciało Valesy zdawało się bezwiednie w niego wtapiać, a pocałunek markiza stawał się bardziej zaborczy i namiętny.

Lord Wyndonbury od dłuższego czasu pragnął pocałować Valesę, chociaż by się do tego nie przyznał. Tego wieczora wyglądała tak pięknie, tak ponętnie, że nie potrafił się już powstrzymać. Jego uczucia różniły się całkowicie od doznań przeżywanych dotychczas z innymi kobietami. Pragnął ją posiadać. Słyszał pulsowanie krwi w swoich skroniach. Jednocześnie chciał ją ochraniać i myślał o niej, a nie o sobie. Zdawał sobie sprawę z jej żywej inteligencji. Jednak nic jeszcze nie wiedziała o naturze pragnienia, które odczuwa mężczyzna wobec kobiety albo kobieta wobec mężczyzny. Dla niej rzeczywistość to była idealna miłość opiewana przez poetów i wyrażana w muzyce. Pobudzała ona umysł, ale nie serce. Markiz objął Valesę jeszcze mocniej. Pragnął bardziej niż czegokolwiek na świecie, aby odwzajemniła jego namiętność. Aby myślała o nim i kochała go jako mężczyznę.

Valessa czuła się, jakby Apollo zstąpił z Olimpu. Albo Człowiek z Księżyca zszedł z nieba, niby jakiś bóg. Dla niej markiz nie był człowiekiem, lecz istotą nadprzyrodzoną, tak wspaniałą, że chciałoby się go czcić. Gdy ją całował, doznawała emocji, o których nie miała pojęcia.

Narastały one w jej ciele i wprawiały w niewysłowioną ekstazę. Były jak promienie światła księżycowego. Całe jej ciało pulsowało z rozkoszy. Światłość zdawała się palić ogniem jej usta, szyję i piersi. To było tak niewypowiedziane cudowne! Myślała, że umarła i jest w raju, o którego istnieniu nie wiedziała. Dopiero gdy markiz podniósł głowę, zrozumiała. To była miłość.

Nigdy nie przypuszczała, że miłość może być właśnie taka. Ale kochała go i nie istniał już świat ani niebo, tylko on. Markiz ujrzał jej oczy wpatrzone z wyrazem, niewątpliwie, podziwu. Bardzo delikatnie wypuścił Valesę z objęć. Jednocześnie poczuł rozpaczliwy lęk, że się go przestraszyła.

Widział jednak, jakim wspaniałym emocjonalnym doświadczeniem był dla niej ten pierwszy pocałunek. A ponieważ umiał czytać w jej myślach, wiedział

także, że ta dziewczyna wciąż przebywa w świecie baśni i jeszcze nie powróciła do swej ludzkiej postaci.

Stali patrząc na siebie przez kilka sekund, które zdawały się wiecznością. Potem markiz, głosem brzmiącym dziwnie obco nawet dla niego samego, powiedział.

- Dobranoc, Valessa. Odszedł.

Patrzyła za nim, ale nie obejrzał się. Z cichym westchnieniem wyrażającym szczerą radość opuściła pokład.

Leżała w łóżku, czując wciąż wokół siebie ramiona markiza i jego wargi na swoich ustach. Nie mogła uwierzyć, że ją spotkało coś tak wspaniałego.

- Kocham go! Kocham go! - powtarzała bezgłośnie. Zdawało się jej, że słyszą to matka i ojciec. Czowała prawdziwą miłość, miłość, za którą tęskniła. A bała się, że nigdy jej nie zazna. Zakochała się w Człowieku z Księżyca i pocałował ją. W tamtej rozkosznej chwili Valessa wzleciała w niebo, aby dotknąć księżyca i skąpać się w deszczu gwiazd. Kocham go, powiedziała sobie i poczuła się najbardziej błogosławioną istotą na świecie. Słyszała, jak markiz kładzie się spać, i modliła się, aby o niej myślał. Wiedziała, że to niemożliwe, aby odwzajemniał jej uczucia. Jednak otrzymała coś bezcennego, dar od Boga.

Valessie nie przeszło nawet przez myśl, że może pójść do markiza i poprosić go o jeszcze jeden pocałunek. Nie uważała, że byłoby to naturalne, ponieważ stanowili małżeństwo. Markiz wciąż zdawał się nieosiągalnym Człowiekiem z Księżyca. A jednak pocałował ją. Dla Valessy ten pocałunek był jak światło księżyca, spłynął na nią z wyżyn niebieskich.

Tymczasem markiz w swojej sypialni walczył z pokusą pójścia do Valessy i zasypania jej pocałunkami. Jego pragnienie było tak gwałtowne, że tylko nieugięta, żelazna siła woli powstrzymywała go od tego. Był zakochany i przyznał się do tego przed samym sobą. Miał długoletnie doświadczenie w stosunkach z kobietami. A Valessa była taka niewinna! Wiedział, że musi ją traktować inaczej niż wszystkie kobiety, które dotąd poznał. Pragnął, aby go pokochała. Pożądał nie tylko jej ciała, ale także serca i duszy. Zdawał sobie jednak sprawę, że niczego nie osiągnie z dnia na dzień. Valessa nie przebudziła się jeszcze z dziewczęcych snów.

Będę zmuszony umizgać się do niej, pomyślał z uśmiechem. Nigdy dotąd nie musiał tego robić. Zawsze do niego się zalecano, uganiano się za nim, a wreszcie usidlano. Teraz nastąpiła zamiana ról. Dla Valessy był bogiem. Na pewno nie będzie go kokietować. Pod tym względem ufał swej intuicji. Cała

sytuacja, pomyślał z odrobiną rozbawienia, jest odwrotnością dotychczasowych doświadczeń.

Gdy odszedł od Valessy i zostawił ją samą na pokładzie, cierpiał nieznośne katusze. Ale miał świadomość, że dzięki temu dziewczyna zacznie o nim myśleć. Może zapragnie, aby jeszcze ją całował, i zainteresuje się nim jako mężczyzną. Przewracał się i kręcił w łóżku, nie mogąc zasnąć. Niczego równie intensywnego w życiu nie doświadczył. On, najbardziej oblegany mężczyzna Londynu, którego za plecami nazywano Don Juanem, Casanową, teraz znalazł się w zupełnie innych okolicznościach. Miał połączyć siły swej intuicji i umysłu, aby rozkochać w sobie młodą dziewczynę.

Jego znajomi uznaliby to za zabawne. Był już z Vales-są na jachcie blisko dwa tygodnie i ani mrugnięciem oka nie dała po sobie poznać, że pragnie, by ją dotknął. Nie miała najmniejszego pojęcia, co się dzieje, gdy mężczyzna i kobieta uprawiają miłość. Po wszystkich przeżyciach z wyrafinowanymi, przytłaczająco namiętymi kobietami, czeka go zupełnie nowe doświadczenie, o jakim nawet nie śnił. Uczyć zupełnie niewinną dziewczynę, jak kochać!

- Pragnę jej miłości - powiedział do siebie w ciemności. - Pragnę tego i Bóg wie, że spróbuję tę miłość zdobyć.

Rozmyślał o tym, jak wiele rzeczy już zdobył. Nie tylko kobiety, również konie: pierwsze miejsca w wyścigach, setki rozmaitych nagród. Zawdzięczał to swemu mistrzostwu. Teraz zaś, w tym momencie, był niepewny swych sił, lękał się, że jeśli przestraszył Valesse, ona ucieknie od niego. Może się nawet utopić, czego już próbowała. Gdyby się tak stało, czy umiałby to znieść?

- O Boże, pomóż mi! - wyszeptał markiz. To były pierwsze słowa modlitwy od bardzo długiego czasu.

Valessa się przebudziła i poczuła ciepły blask słońca nie tylko na zewnątrz, lecz także we własnym wnętrzu. Nie zdziwiłaby się, gdyby patrząc w lustro zobaczyła emanujące z siebie złote promienie, za których źródło starożytni Grecy uważali splot słoneczny.

Gdy weszła do salonu na śniadanie, lśniące oczy zdawały się wypełniać całą jej twarz. Popatrzyła na markiza, który siedział już przy stole, i miała ochotę paść przed nim na kolana. Chciała w podzięcie zapalić przed nim kadzidło, jak starożytni Grecy przed posągami swoich bogów.

Wyjrzała na morze i zobaczyła, że jacht wpływa do portu w Marsylii. Nagle poczuła zimne szpony zaciskające się na piersi. Przeszło jej przez myśl, że wczorajszy pocałunek markiza mógł oznaczać pożegnanie. Jeśli tak było, jak to zniesie? Wiedziała, że musi być dzielna i nie robić scen. Przecież sama wystąpiła z propozycją rozstania. Dzięki temu markiz byłby wolny. Nikt nie

pomyślałby o nim nic złego, gdyby po roku rozeszła się wieść o śmierci niejakiej Yalessy Chester.

Ze strachu nie mogła jeść.

Markiz powiedział:

- Myślę, że będziemy na brzegu za jakieś dwadzieścia minut.

Valessa wstrzymała oddech. Czekwała, aby powiedział coś więcej, ale dodał tylko:

- Piękny dzisiaj dzień i myślę, że gdy słońce wzejdzie wyżej, zrobi się bardzo ciepło.

Wstał i podszedł do iluminatora.

- Kapitan mówi - próbował podtrzymać konwersację - że nigdy nie miał takiej dobrej pogody o tej porze roku.

- Może... mamy szczęście - bąknęła.

- Jestem tego pewien - odparł markiz.

Ulisses z gracją wślizgnął się do portu; za kilka minut miał zostać zacumowany.

- Masz pretekst, żeby się ubrać w najpiękniejszy czepek - powiedział beztrząsowo markiz.

Valessa milcząco zeszła pod pokład, gdzie spodziewała się zastać Bowersa pakującego jej kufry. Kajuta jednak wyglądała tak samo, jak przedtem. Z radosnym biciem serca pomyślała, że może jeszcze nie nadszedł moment odejścia. Pewnie markiz chce ją zabrać, aby obejrzała dom, gdzie ma zamieszkać. Przynajmniej, zanim znajdzie sobie posadę, o której mówiła, spędzi z nim jeszcze jeden dzień.

- Proszę cię, Boże... nie pozwól, żebym musiała teraz od niego odchodzić - modliła się. - Proszę cię, Boże, spraw, aby zatrzymał mnie na jachcie trochę dłużej.

Cała jej istota wznosiła się jakby do nieba w pokornym błaganiu. Ale nawet modląc się, jeszcze raz pomyślała, że markiz jest nieosiągalny. Modliła się więc o gwiazdkę z nieba. A ostrzegano ją, by się nie zakochiwała w Człowieku z Księżyca. Nigdy go nie zapomnę, westchnęła z rozpaczą.

Tego ranka włożyła jedną z najładniejszych darowanych przez Sarah sukien, białą, bardzo sutą spódnicę i niebieską szarfę. Stanik i spódnica były ozdobione angielskim haftem, a czepek bławatkami. Kreację uzupełniały błękitne atlasowe pantofelki.

Gdy Valessa przysłała na górę, markiz pomyślał, że nigdy nie wyglądała piękniej. Musiał bardzo prędko odwrócić wzrok, bo inaczej skończyłoby się na

kolejnym pocałunku. Ten gest i brak najmniejszego komplementu na temat jej stroju utwierdziły Valessę w przekonaniu, iż markiz jest nieosiągalny.

Wsiedli do otwartej karety, która czekała przy wejściu na molo. Pomyślała, że żaden mężczyzna nie może być bardziej przystojny. Jeszcze raz się pomodliła, by dane jej było dziś z nim zostać. Kareta ruszyła. Valessa obejrzała się na port i połyskujący błękit morza.

- Tam jest Diabelska Wyspa - zagaił markiz - gdzie więzi się złoczyńców. Stamtąd nie ma ucieczki.

Valessa zadrzała. Nie miała ochoty myśleć o takich rzeczach. Konie skręciły w okazałą bramę. Nad okazałym budynkiem powiewała flaga brytyjska. Valessa zorientowała się, że są przed Konsulatem Brytyjskim. Kareta się zatrzymała przed drzwiami, a markiz rzekł:

- Nie ma potrzeby, żebyś wysiadła. Odbieram listy. Powiedziałem sekretarzowi, żeby tu je przesyłał. Mam nadzieję, że dostanę też brytyjskie gazety.

Przeszedł między kilkoma gnącymi się w ukłonach lokajami i zniknął jej z oczu.

Valessa siedziała i czekała. Z jakim ożywieniem mówił o brytyjskich gazetach! Była pewna, że pragnie wracać do domu. Może zostawi mnie tutaj... jutro, pomyślała z desperacją. I znów się modliła, by został trochę dłużej.

Markiz nie bawił długo w konsulacie. Sekretarz przekazał mu kilka paczek z listami i gazetami. Zastanawiał się, czy znajdzie w prasie coś o sobie. Miał nadzieję, że ani Sarah, ani Harold Grantham nie okazali się niedyskretni i nie rozmawiali z dziennikarzami. Sarah chyba nie życzyła sobie, by jej udział w oszustwie został podany do publicznej wiadomości. Markiz skierował się w stronę drzwi.

Na dziedziniec zajechała właśnie druga kareta i wysiadła z niej jakaś dama. Markiz patrzył na Valessę i drgnął, gdy usłyszał przenikliwy głos:

- Stafford! Nie spodziewałam się, że cię tu zobaczę! Odwrócił się i ujrzał księżną de Savalon.

- Jak mogłeś przyjechać do tej części Francji nie zawiadamiając mnie? Ale być może dopiero co przybyłeś - powiedziała.

- Przybyłem do portu zaledwie godzinę temu - wyjaśnił.

- Chcesz mi powiedzieć, że się tu nie zatrzymujesz? - spytała księżna. - Bo jeśli tak, muszę wydać specjalne przyjęcie na twoją cześć.

Markiz zdawał sobie sprawę, jaki to wielki przywilej. Księżna de Savalon była we Francji osobistością. Miała sześćdziesiąt lat, ale jej twarz wciąż nosiła ślady wspaniałej urody z czasów młodości. Była jedną z tych znamienitych

Francuzek o rozległych wpływach w dziedzinie życia politycznego kraju. Prowadziła w Paryżu salon i wszyscy co znaczniejsi ludzie bili się o to, aby być przez nią zaproszonym.

Księżna, wielka przyjaciółka ojca markiza, którego zawsze podejrzewał o pewną do niej słabość, często gościła w Wyndonbury i markiz wiedział, że była bliską przyjaciółką królowej Adelajdy,

- No więc kiedy do mnie przyjdiesz? - dopytywała się teraz, ale jej oczy spoczywały już nie na markizie, lecz na Valessie.

Valessa niecierpliwie czekała w karecie na powrót markiza. Siedziała teraz niemal w drzwiach karety i wpatrywała się w niego rozpalonym wzrokiem. Jej promienna twarz okolona falbankami eleganckiego czepka wyglądała prześlicznie w porannym słońcu. Markiz właśnie się zastanawiał, jak odmówić księżnej, aby nie wydać się niegrzecznym, gdy ta wykrzyknęła:

- A jakże - przecież chyba się nie mylę! To przecież córka Charlesa Chestera!

Słyszając to, Valessa z impetem wyskoczyła z karety przez drzwi, które lokaj zdążył już otworzyć dla markiza.

- Czy pani znała papę, madame? - zapytała z ożywieniem.

- A więc jesteś córką Charlesa Chestera! - zawołała księżna. - Wyglądasz identycznie jak twoja matka! A tak naprawdę wyglądasz wciąż tak samo jak wtedy, gdy byliście u mnie w Paryżu przed laty.

- Pamiętam! Teraz już pamiętam! - odpowiedziała Valessa. - Miała pani w pokoju dziecinnym taki ogromny dom dla lalek!

Księżna roześmiała się.

- Wciąż tam stoi i moje wnuki go uwielbiają, tak jak ty kiedyś.

Markiz stał oniemiały. Osłupiał. Księżna roześmiała się, widząc jego minę.

- Zapewne podziwiasz mnie za to, że po tych wszystkich latach poznałam Valessę. Ale ona jest taka podobna do swej matki, która była jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie zdarzyło mi się spotkać!

Zanim markiz zdążył cokolwiek powiedzieć, ciągnęła:

- Ale powiedz mi, dziecko, dlaczego tu jesteś. Czy przyjechał z tobą ojciec?

- Papa... nie żyje - Valessa zatkała cicho.

- Och, tak mi przykro! - rzekła księżna. - Wobec tego...?

Oczekując wyjaśnienia popatrzyła na markiza, który w końcu odzyskał mowę.

- Valessa jest moją żoną.

- Twoją żoną? - powtórzyła księżna. - Ależ to cudownie! Często się zastanawiałam, Valesso, co się z tobą dzieje. Małżeństwo ze Staffordem wydaje się wręcz idealnym rozwiązaniem.

Położyła markizowi rękę na ramieniu.

- Jutro wieczorem oboje zjecie u mnie kolację - zakomunikowała. - I nie pozwolę wam odmówić. Mój syn z rozkoszą się z wami zobaczy, tak jak i Marguerite, która zawsze kochała Elizabeth.

Roześmiała się figlarnie i dodała:

- I, oczywiście, wszyscy kochaliśmy Charlesa. Czasem był bardzo nieznośnym chłopcem, ale jak można było się na niego gniewać?

Zwróciła się do Valessy.

- Do widzenia, moja droga. Zobaczymy się jutro wieczorem o wpół do ósmej. Nie każcie mi na siebie czekać! Tymczasem poszukam dla was jakiegoś ślubnego prezentu.

Zaczęła się oddalać, ale znów stanęła.

- Przy okazji... właśnie sobie przypominałam - w zeszłym tygodniu podano w gazetach wzmiankę o śmierci dziadka Valessy. Nie mogliście o tym słyszeć, będąc na morzu. Był bardzo wiekowym człowiekiem, więc ta śmierć nie przyszła niespodziewanie.

Odeszła, nie czekając na odpowiedź.

Valessa wróciła do karety. Markiz usiadł obok niej. Był całkowicie oszołomiony tym, co usłyszał. Wreszcie nieswoim głosem zapytał:

- Jak to możliwe, że twoi rodzice... znali księżną de Savalon?

- Szczerze mówiąc - odpowiedziała Valessa - poznałam ją dopiero, gdy się do mnie odezwała, ale nigdy nie zapomnę tego domu dla lalek!

- Ale... ty byłaś w Paryżu?

- Bardzo dawno temu. Miałam wtedy tylko siedem lat - odparła, ale papa czasem wspominał o księżnej.

Markiz był zbity z tropu. Gdy odjeżdżali, myślał o tym, za jak powszechnie cenioną osobę uważano księżną. Widywał kobiety tonące we łzach tylko dlatego, że nie otrzymały zaproszenia na jej przyjęcie. Kiedy przyjeżdżała do Anglii, zatrzymywała się w Pałacu Buckingham, a nie, jak by się można spodziewać, w ambasadzie francuskiej. Przypomniawszy sobie, co księżna mówiła o Valessie. Nie zadawał jednak dalszych pytań, dopóki nie znaleźli się z powrotem na jachcie.

Weszli na trap, a potem skierowali się do salonu. Tam steward położył na stole listy i gazety, a markiz spytał:

- Księżna wspominała o śmierci twego dziadka? Kim on był?

- Nie znałam go...

- Nie znałaś go! - wykrzyknął markiz.

- Papa uciekł z domu, bo nie chciał zostać żołnierzem, a mama odeszła z nim razem, ponieważ już byli wtedy w sobie zakochani.

Markiz rozpieczętował gazety. Tak jak się spodziewał, sekretarz przysłał mu i The Timesa, i Morning Post, wszystkie numery, które się ukazały od wyjazdu z Anglii.

Minął co najmniej tydzień, zanim dotarły do Marsytii. Najpóźniej nadesłana gazeta może być tą, o której wspomniała księżna. Otworzył Timesa na stronie z nekrologami, a Valessa odezwała się cichutko:

- Papa zmienił nazwisko, kiedy... uciekł, więc nie ma sensu szukać „Chester”.

- Więc jak brzmiało nazwisko twojego dziadka? - zapytał natarczywie markiz.

- Brzmiało... Generał Sir Montgomery Chesterton Huntley.

Markiz wpatrywał się w nią ze zdumieniem.

- Dziadek... bardzo się gniewał na papę, bo papa nie był mu posłuszny - dodała Valessa nerwowo.

- Dowodził Królewską Gwardią! - powiedział markiz. - A jego najstarszy syn, który jak przypuszczam, jest twoim wujem, teraz dzierży to stanowisko. Sam służyłem pod jego dowództwem!

- On nigdy się nie odzywał do papy - rzekła Valessa wyzywająco.

- AJe ty wciąż należysz do rodziny - zauważył markiz w zamyśleniu, jakby do siebie.

Rzucił gazety z powrotem na stół i oznajmił:

- Sądzę, Valessa, że powinnaś była opowiedzieć mi wcześniej o swojej rodzinie.

Valessa zdejmowała czepek.

- Nie pytał mnie pan - odparła trochę niespokojnie - i bałam się, że wpadnie pan w złość.

- Dlaczegoż to miałbym wpaść w złość?

- Ponieważ zabronił mi pan mówić o lady Barton... Ale chciałam, aby pan się dowiedział, że nie jestem tą osobą, o której ona panu powiedziała.

- Sądziłem, że sama myśl o niej może cię wyprowadzić z równowagi - powiedział markiz - ale teraz wytłumacz mi dokładnie, kim jesteś.

Widział, że Valessa jest zdenerwowana. Jednocześnie wyczuwał jej pragnienie, aby mu pokazać, iż jest damą, a nie jakąś podejrzaną kreaturą opisaną przez Sarah.



- Papa... jak już pan wie - zaczęła słabym głosem - był młodszym synem dziadka... Został wydziedziczony... to dlatego byliśmy tacy biedni. Zawsze nienawidziłam dziadków za ich bezlitosne postępowanie.

- Doskonale to rozumiem - przyznał markiz. - A kim była twoja matka?

- Jej ojcem był lord Ardleigh - odparła Valessa. - Ale nie rozmawiał z mamą od czasu... jak uciekła.

Podniosła oczy. Markiz wpatrywał się w nią z nie skrywanym zdumieniem.

- Lord Ardleigh? - powtórzył. - Jesteś tego pewna?

- Tak... oczywiście, że jestem pewna. Mama była Honourable Elisabeth Leigh... ale nigdy nie używała tego tytułu. Nazywali się z ojcem po prostu „państwo Chester”!

- Lord Ardleigh - twój dziadek - jest kuzynem w prostej linii mojej matki! - wykrzyknął markiz.

Pomyślał, że oto stał się cud, o który błagał niebiosa. Jego krewni z radością przyjmą Valessę jako markizę Wyndonbury. Ledwie wierzył własnym uszom. Dotąd ani przez moment nie podejrzewał, że Valessa może być równie wysoko urodzona jak on sam.

- Myślę, że moi obaj dziadkowie byli bardzo okrutni - mówiła Valessa. - Gdybym miała dzieci, nigdy bym ich... nie wyrzuciła ze swojego życia... bez względu na to, jak źle by postępowały.

- Twój ojciec i matka uciekli razem, ponieważ się kochali - rzeki cicho markiz.

- Kochali się tak bardzo, że nic poza tym się nie liczyło - odpowiedziała Valessa. - Nawet to, że mama była zaręczona z kimś bardzo ważnym, a ślub miał się odbyć za dwa tygodnie.

- Czy rodzice byli szczęśliwi? - spytał markiz.

- Mama mawiała, że... być z ojcem to... jak mieszkać... w raju - w głosie Valessy zabrzmiała śpiewna nuta, która nie uszła uwagi markiza.

- Czy i ty chciałybyś się tak czuć? - zapytał cicho. Valessa odwróciła wzrok. Jej nieśmiałość, pomyślał, jest absolutnie cudowna. Z trudem powstrzymał się od tego, by nie porwać jej w ramiona. Stewardzi właśnie nakrywali do stołu, więc rzekł:

- Musisz mi o tym opowiedzieć później.

Przy lunchu Valessa mówiła mu o tym, jak ojciec pragnął podróżować po całym świecie i jak od urodzenia rodzice zabierali wszędzie ją ze sobą. Markiz zrozumiał, dlaczego pragnęła się tyle nauczyć o krajach, które zwiedziła. Po prostu wtedy była za młoda, aby cokolwiek zapamiętać z tych podróży...

- Myślę, że musiałam mieć sześć albo siedem lat, kiedy zabrano mnie do Paryża. Mieszkaliśmy u księżnej. - Przerwała, jakby się namyślając. - Pamiętam, że potem pojechaliśmy do Rzymu. Koloseum było bardzo duże. Bałam się, że czają się tam lwy i tygrysy i tylko czekają, aby mnie rozerwać na strzępy!

Markiz roześmiał się.

Opowiadała mu dalej, jak po śmierci matki ojciec roztrwonił cały kapitał, z którego się utrzymywali.

- Był całkowicie załamany... gdy zabrakło mamy. Nie potrafił normalnie myśleć... tylko cierpiał.

Przemknęło jej przez myśl, że tak samo by się czuła, gdyby przyszło jej stracić markiza.

Słuchał, ale raz po raz spoglądał na zegar stojący na kominku. Pomyślała więc, że ma spotkanie i pragnie się jej pozbyć.

- Jeśli pan schodzi teraz na ląd - zaproponowała - może powinnam się położyć.

Robiła to codziennie za radą Bowersa. Miała jednak nadzieję, że markiz pozwoli jej tym razem pójść ze sobą. Ale on odparł:

- To dobry pomysł. Podniósł się.

- Idź się położyć - rzekł - a ja zaraz przyjdę i wyjawię ci swoje plany.

- To świetnie - powiedziała Valessa ochoczo. Pospieszyła do swojej kajuty. Iluminatory wychodziły na morze i do środka wpadało słońce. Zdjęła swą śliczną sukienkę i powiesiła ją w szafie. Potem, jak zwykle, włożyła nocną koszulę i położyła się do łóżka. Słyszała, jak markiz wchodzi do swojej kajuty, a kilka minut później rozległo się pukanie do jej drzwi. Wkroczył do środka. Ku swemu zdumieniu ujrzała, że ma na sobie długi szlafrok, taki sam, jakie kiedyś zwykł nosić jej ojciec. Sięgał do samej ziemi i był zapięty po szyję na sznurkowe guziki. Zamknął drzwi i podszedł do niej. W jego oczach dostrzegła coś, czego dotąd tam nie widziała.

- Myślałam, że schodzi pan na brzeg.

- Zmieniłem zdanie - odparł. - Pomyślałem, że dla odmiany moglibyśmy dzisiaj zjeść kolację w restauracji. Na pewno są jakieś dobre restauracje w Marsylii.

- W restauracji! - wykrzyknęła Yalema.

Nigdy w życiu nie była w czymś takim i czułam, że ten wieczór będzie bardzo podniecający. Co więcej, spędzi go z markizem. Najwidoczniej nie chciał jeszcze, by odeszła. Jeszcze nie. Usiadł naprzeciwko niej na brzegu łóżka i powiedział:

- Ponieważ możemy dziś późno wrócić do domu, pomyślałem, że i ja się położę. Może moglibyśmy odpocząć razem.

Serce podskoczyło jej do piersi. Zorientowała się, że jego wargi są blisko jej ust i poczuła, jak jej ciało przenikają te same porywające fale rozkoszy co wczorajszego wieczora.

- Z przyjemnością - szepnęła.

- Jesteś pewna? - zapytał markiz.

Spojrzała w jego oczy i nie mogła już odwrócić wzroku.

- Nie chcę cię przestraszyć - powiedział.

- Nie boję się ciebie... jakżebym mogła?

Sądziła, że markiz ją pocałuje i poczuła drżenie warg. Tymczasem on zdjął szlafrok i wślizgnął się do łóżka obok niej. Przez chwilę nie mogła wprost uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Potem, gdy bardzo delikatnie otoczył ją ramionami, wydała cichy pomruk i wtuliła twarz w jego szyję.

- Wczorajszej nocy pragnąłem cię tak trzymać w ramionach - powiedział markiz - ale bałem się, że jeśli przyjdę do twojej kajuty, weźmiesz mnie za ludożercę!

- Nie za ludożercę... - szepnęła Valessa. - Jesteś Człowiekiem z Księżyca!

- Dlaczego Człowiekiem z Księżyca?

- Ponieważ jesteś nieosiągalny.

Przyciągnął ją trochę bliżej.

- Nie jestem nieosiągalny, Valessa, i chcę cię całować.

Czekał. Bardzo powoli, przełamując nieśmiałość, odwróciła twarz w jego stronę. Czuł, jak drży, ale wiedział, że nie strach jest tego powodem. Niespiesznie, jakby chcąc w nieskończoność smakować tę cudowną chwilę, złożył swe wargi na jej ustach. Valessa tego właśnie pragnęła. Tak rozpaczliwie się bała, gdy ją całował poprzedniego wieczora! Myślała, że to było pożegnanie. Instynktownie przysunęła się do niego. Czuła, jak ich serca zaczynają bić wspólnym rytmem. Zdawało się jej, że i słońce, i księżyc napędzają blaskiem jej ciało i nie należy już do siebie, lecz jest częścią swego ukochanego. Nie rozumiała własnych uczuć. Ale pragnęła oddać mu nie tylko swe wargi, ale także swe serce i wszystko, co do niej należało. Chciała się stać częścią jego, być jeszcze bliżej niego niż teraz. Ucałował jej oczy.

- Kocham cię... kocham cię - powiedziała.

- Pragnąłem usłyszeć od ciebie te słowa - jego głos był głęboki i trochę drżał.

- Nie wiedziałam... że miłość jest taka - szepnęła.

- Jaka?

- Czuję, jakbym nie była już sobą... tylko należała do ciebie... A ty jesteś Księżycem... więc i ja nim chyba jestem.

- Moja ubóstwiana najdroższa - rzekł - jak mógłbym znaleźć się tam bez ciebie?

Całował jej kształtny nos, policzki i jedwabistą szyję. To właśnie wtedy Valessa poczuła, jak blask słońca zmienia się w palący ogień. Całe jej ciało płonęło w przedziwnej ekstazie. Zapragnęła czegoś nieosiągalnego. Markiza.

- Pragnę cię! - mówił. - Boże, jak ja ciebie pragnę! Ale musisz mi pomóc, moja ukochana, chcę być delikatny i nie przestraszyć cię.

- Nie boję się.

- Czy jesteś tego zupełnie, całkowicie pewna?

- Zupełnie pewna... ale proszę... nie przestawaj mnie całować... i pieścić.

I dodała ze skargą w głosie:

- Myślałam... że chcesz mnie... opuścić.

- Nigdy cię nie opuszczę - przyrzekł. - Należysz do mnie, moja ukochana! Jesteś moja... na zawsze!

- Mogę z tobą zostać?

- Musisz ze mną zostać, żebym cię mógł nauczyć wszystkiego o miłości.

- Tego właśnie pragnę! Naucz mnie... naucz mnie, jak się kochać, jak cię pieścić tak... jak tego pragniesz.

- Pragnę cię taką, jaka jesteś - rzekł markiz.

Mówiąc to pomyślał, że Valessa w istocie jest ideałem - wszystkim, co pragnie znaleźć w osobie swojej żony. Przez myśl mu nie przeszło nigdy, że znajdzie ją w takich okolicznościach. Nie miało to najmniejszego znaczenia, ale Sarah i Grantham wpadli we własne sidła. Gdy się dowiedzą, z kim go ożenili, wyjdą na kompletnych głupców. Zemsta Sarah w rzeczy samej okazała się bardzo słodka. Dla niego nie było teraz ważne, kim jest Valessa ani skąd pochodzi. Nawet gdyby rzeczywiście wyciągnięto ją z rynsztoka, jego miłość nie straciłaby nic ze swej siły. Ale dla niej, choć sama do końca nie rozumiała, co oznacza arystokratyczny rodowód, i nie była go świadoma, miało to wielkie znaczenie. Nikt jej nie skrzywdzi. Nie stanie się ofiarą szyderstw. Jego rodzina będzie zadowolona, że żona markiza jest z nią spokrewniona i ma dystyngowanego dziadka. I znowu odniosłem zwycięstwo, pomyślał. Tymczasem jednak nie liczyło się nic prócz szczęścia Valessy. Będzie ją chronił, opiekował się nią i kochał do końca życia. Wiedział, że dzięki wspólnie przeżyтым cierpieniom staną się lepszymi rodzicami dla własnych dzieci. A także okażą więcej wyrozumiałości ludziom poszukującym miłości, podobnym do nich.

Yalessa, taka miękka i słodka, wzniecała w jego wnętrzu prawdziwy płomień. Znow zaczął ją całować. Całował jej wargi, aż razem wzlecieli ku księżycowi, który świecił daleko w przestworzach ponad zwyczajnym światem, i stali się jak bogowie.

Serce Yalessy było równie szaleńczo jak jego i oddech pospiesznie wydobywał się spomiędzy jej rozchylonych warg. Oczy świeciły blaskiem, który pochodził od samego Boga. Wówczas markiz bardzo delikatnie, z miłością, posiadał ją. Teraz słońce roztaczało dookoła nich złotą poświatę. Słoneczny żar palił ich ciała, ich serca i dusze. Wznosił oboje w niebo na skrzydłach duchowej ekstazy. Wtopili się w księżyc, a tam nic już nie mogło wyrządzić im krzywdy. Miłość otulała ich gwiazdnym płaszczem.

To była miłość, która będzie rosła i umacniała się przez całe ich życie. Miłość, zakrawa której, połączeni, wkroczą do wieczności.